Cena 80 mk.

№ 14. Warszawa, 1 kwietnia 1922. Rok III.

TYDZIEŃ POLSKI

Perspektywy Konferencji Genueńskiej.

Pomysł Konferencji Genueńskiej wylągł się w głowie Lloyd George'a. Skłoniły go do tego dwa powody. Od roku przeszło trwa w Anglji groźne przesilenie ekonomiczne—dwa blisko miljony bezrobotnych nie znajdują pracy, wobec wysokiego kursu funta sterlingów, konkurencji przemysłu niemieckiego i zubożenia Europy. P. Lloyd George, polityk o wielkiej fantazji poetyckiej, zamyka oczy na to, że faworyzowanie Niemiec i głucha walka przeciwko Francji utrzymują Europę w stanie ciągłego wrzenia i paraliżują przywrócenie normalnych warunków życia handlowego i ekonomicznego. Coraz bardziej zaogniony problem odbudowy zniszczonych prowincji francuskich, kolosalne długi wojenne i wypłaty odszkodowań przez Rzeszę, podkopujące wraz z niedołężną gospodarką wartość marki niemieckiej, zaostrzają wciąż kryzys, stawiają Europę w ciężkiem, a Anglję w groźnem wprost położeniu. Ratunkiem jedynym byłoby ustalenie równowagi politycznej w Europie, w drodze energicznego i konsekwentnego wykonania traktatów, sanacja powszechna finansów za pomocą zaciągnięcia wielkiej pożyczki międzynarodowej, gwarantowanej przez wszystkie mocarstwa, celem otwarcia kredytu długoterminowego Niemcom dla spłacenia części odszkodowań należnych Francji, pod warunkiem reorganizacji gospodarki Rzeszy i kontroli Koalicji nad jej finansami. Wreszcie — odbudowa finansowo-ekonomiczna Europy centralnej i południowej, podnosząc stopę i wartość walut narodowych, ułatwiłaby tym państwom nabywanie towarów angielskich, francuskich i włoskich, dziś dla nich niedostępnych. Tylko jakże tu wyzbyć się intryg i rywalizacji dyplomatycznej, jak zmienić z gruntu dotychczasową linję polityki antyfrancuskiej?! P. Lloyd George lubuje się zresztą w kombinacjach „kolosalnych". Skromny początek—odbudowa Europy centralnej i po części północno-zachodniej (116 miljonów konsumentów) wydaje mu się rzeczą zbyt prozaiczną, niemal błahą. Z mistycznym jakimś uporem wysuwa na plan pierwszy Rosję, której 120.000.000 konsumentów (do gruntu zrujnowanych, wygłodniałych, zdemoralizowanych) hypnotyzuje go swą masą, biernością, rozległością samą d. cesarstwa. W gruncie rzeczy, kierownik rządu angielskiego, imperjalista i polityk kolonjalny par excellence—marzy o zdobyciu dla Anglji nowej olbrzymiej kolonji, przenosząc to nad pomoc państwom młodym, uświadomionym i dumnym, nie rojącym bynajmniej o protektoracie brytańskim, jako o swym ziemskim ideale. Słowem, główny wysiłek w odbudowie całej Europy miałby się zwrócić na jej połacie wschodnie, z przygodnem, macoszem traktowaniem części centralnej, która przecież jest bazą konieczną, podstawą strategiczną do wszelkiej akcji ekonomicznej na Wschodzie.

Nie zapominajmy pozatem o troskach wyborczych p. Lloyd George'a. W W. Brytanji, jak również w Stanach Zjednoczonych różne fazy polityki czysto wewnętrznej przeważnie powodują akcję i gwałtowne nieraz zmiany w polityce zewnętrznej. Lloyd George rachował na zdobycie sobie propozycją genueńską wyborców o sympatjach radykalnych i socjalistycznych. Rachuby te, jak się zdaje, są zawodne.

Jakaż była pozycja innych mocarstw wobec projektów Lloyd George'a? Niemcy spodziewały się uzyskać nowe koncesje od Francji w kierunku rewizji traktatu wersalskiego, spodziewały się też dobicia targu z Anglją i Włochami, aby te dostarczyły Rzeszy kapitałów i poparcia w ekonomicznem opanowaniu

Rosji. Włochy i szereg państw dawniej neutralnych liczą na możność wyciągnięcia z Rosji pewnych bezpośrednich korzyści handlowych, niezależnie od planów na dalszą metę. Francja zrozumiała niebezpieczeństwa polityczne tej akcji, i jakkolwiek sfery rządowe odnoszą się bardzo sceptycznie do możności zrealizowania z pożytkiem dla Europy odbudowy Rosji w jej stanie obecnym, zgodziła się na udział w Konferencji na określonych warunkach. Chodziło o niedopuszczenie zagarnięcia placówek kapitału francuskiego w Rosji przez innych kompetentów i o zagwarantowanie długów Rosji. Zresztą sfery przemysłowe francuskie w znacznej części przypuszczają, że coś nie coś z Rosji da się jednak wydobyć już teraz, zwłaszcza na kresach (Kaukaz, Ukraina).

W tych oto warunkach odbyło się spotkanie 'w Boulogne p. R. Poincare'go z Lloyd George'm. Obawy Francji co do próby rewizji w Genui traktatu wersalskiego albo poddania dyskusji jej praw do rewindykacji kapitałów francuskich, utopionych w rosyjskich pożyczkach, zostały usunięte. Rozważmy, jakie te uchwały mają znaczenie dla Polski. Pod względem politycznym najprzód. Nie będą podlegały dyskusji w Genui traktaty podpisane we Francji (czyli wersalski, w St. Germain en Laye, w Trianon i Neuilly). Inaczej mówiąc, traktaty ryski, łotewski, estoński dyskusji podlegają! Skąd to wyróżnienie? Politycznie jest ono uzasadnionem. Uznanie bez dyskusji traktatów, zawartych z Sowietami, oznaczałoby uznanie prawomocności zobowiązań rządu Sowietów, jako rządu rosyjskiego, a zatem uznanie go de jure. Otóż kwestja ta uzależniona będzie od szeregu innych warunków. Z punktu widzenia zaś finansowego, państwa powstałe na ruinach Cesarstwa są częścią gwarancji terytorjalno-gospodarczej jego długów państwom zachodnim. Kredytorzy Rosji nie będą robili zapewne trudności politycznych w uznaniu tych traktatów, zażądają natomiast od państw sukcesyjnych przyjęcia na siebie odpowiedzialności za część długów rosyjskich. Mniejsza tu o kwestję sprawiedliwości historycznej etc., faktycznie sytuacja ta wytworzy się niewątpliwie. Jesteśmy pod tym względem w lepszem położeniu od Łotwy, Estonji, Litwy, gdyż w podpisanym przez Polskę w Wersalu układzie dodatkowym o obronie mniejszości narodowych zobowiązaliśmy się przejąć część długów Rosji, która na nas przypadnie. Ułatwi to uznanie rychłe i bez zastrzeżeń traktatu ryskiego z chwilą uznania Sowietów de jure. Obciążenia finansowego tym tytułem nie uniknęlibyśmy w żadnym razie, jak nie unikną go inne państwa bałtyckie. Dyskusja będzie się toczyła głównie co do formy i rozmiarów tego obciążenia. Jest tu wskazanem porozumienie się nasze i wspólne występowanie w tych kwestjach w Genui wraz z sąsiadami z Bałtyku i z Rumunją Miejmy nadzieję, że obrady ekspertów bałtyckich w Warszawie doprowadzą do ułożenia taktyki jednolitej. Możemy liczyć z pewnością na poparcie Francji w przyspieszeniu uznania traktatu ryskiego z chwilą uznania Sowietów (a może i wcześniej?), ale co do strony finansowej. będzie ona występowała prawdopodobnie solidarnie z innymi kredytorami Rosji!

Perspektywy ekonomiczne... Wiadomem jest wszystkim, że narada ekspertów mocarstw Koalicji ułożyła plan Syndykatu międzynarodowego dla odbudowy Rosji, do którego Anglja, Francja, Włochy, Belgja i Niemcy przystępują z równemi działami kapitału, przyczem zaapelowano o przystąpienie do syndykatu do Stanów Zjednoczonych, do Holandji, Danji, Szwajcarji i Czecho-Słowacji. Polski, najbardziej w tem zainteresowanej, tam niema, jak niema Rumunji i Jugo-Slawji, państw bez przemysłu, coprawda, jak niema państw Skandynawskich, posiadających przemysł, ani Hiszpanji. Nie mamy powodu do ukrywania przyczyn tego wyróżnienia, niezbyt dla nas pochlebnego. Najprzód ostro wystąpili przeciwko naszemu udziałowi eksperci angielscy. Poparci przez Włochów, a za kulisami przez Niemców i wpływowe sfery finansjery „międzynarodowej“, przegłosowali Francję, która stoczyła o nas walkę nierówną. Nietylko niechęci anglo-niemieckie były tu w grze, rozstrzygnął kwestję ten motyw, że Polska z opłakanym stanem finansów i ze swym nie zawsze dołężnym (żeby nie powiedzieć więcej) etatyzmem gospodarczym sama jest objektem do odbudowy. Nie znaczy to, żeby nas odsunięto definitywnie. Najprzód, w zasadzie, wolno nam przystąpić do syndykatu jako pojedynczy syndykat narodowy, po drugie, możemy mieć udział w ugrupowaniach prywatnych narodowych konsorcjów. Oczywiście należy się liczyć z tendencją pewnych mocarstw do zmonopolizowania w ich Syndykacie odbudowy Rosji. Monopol ten, groźny dla naszego przemysłu, musielibyśmy zwalczać jak najostrzej. W tym celu również wskazanem jest w pierwszym rzędzie porozumienie nasze co do taktyki w Genui z Rumunją i wogóle z Małą Ententą. Nie podzielam tu wszakże optymizmu pewnych naszych sfer urzędowych. Główna, jeżeli nie wyłączna rola, i główne zyski odbudowy Rosji przypadną w udziale Syndykatowi miedzynarodowemu. Wykluczenie z niego Polski jest potwierdzeniem anglo-niemieckiego planu unieruchomienia Polski i sprowadzenia jej do roli czynnika pasywnego w wielkim projekcie odbudowy Rosji. Co więcej, istnieje ze strony angielskiej, a może i włoskiej, tendencja powierzenia Niemcom zadania reorganizacji w tym celu transportów Europy centralnej, zatem i polskich. Niedopuszczalnem jest dla nas, abyśmy ulegli zwierzchnictwu ekonomicznemu Niemiec, choćby i w kolejnictwie. Niedopuszczalnem jest, aby Polskę traktowano jako most geograficzny li tylko dla ekspansji kapitału angielskiego i przemysłu niemieckiego z celowem usunięciem z tej akcji przemysłu polskiego. Zapewne możnaby się temu oprzeć, ale walka będzie trudniejszą, o ile znajdziemy się poza nawiasem Syndykatu, wobec jednolitego niemal frontu finansjery międzynarodowej. Caveant consules!

Inna jest rzecz, że szanse konferencji znacznie się popsuły z powodu odmowy Stanów

Zjednoczonych. Odmowę tę interpretują tu jako objaw celowej polityki, zdążającej do tego, by Europa poddała się hegemonji ekonomicznej Ameryki, przyjmując jej imperatywne dyrektywy w planie odbudowy gospodarki światowej. Kto wie, czy nie znajdujemy się w przeddzień konfliktu, w którym Europa mimo swych rywalizacji wewnętrznych będzie zmuszona stawić czoło imperjalizmowi ekonomicznemu Ameryki Północnej. Ale o tem innym razem. Istnieją także poważne wątpliwości, czy Sowiety wezmą udział, a raczej czy przyjmą na Konferencji Genueńskiej zasadnicze warunki Koalicji. We Francji przeważa nastrój dość pod tym względem sceptyczny. Bądź co bądź, Konferencja w Genui nawet wrazie niepowodzeń będzie ogniwem w ewolucji polityki międzynarodowej w kierunku przyjęcia sytuacji obecnej za bazę do uznania Sowietów, jako rządu Rosji faktycznego, a później i de jure.

Trzeźwy polityk polski nie powinien tracić tej kwestji z oka ani na chwilę.

Paryż. *Dr. E. Wo.*

ZAGADNIENIA SPORNE NASZEJ KONSTYTUCJI.

Jest rzeczą nader charakterystyczną dla kultury umysłowej starej naszej stolicy, że wkrótce po uchwaleniu przez Sejm Konstytucji — zorganizowane zostały w Krakowie pomiędzy 12 a 25 maja roku ubiegłego odczyty o niej. Odczyty te, wygłoszone za wyjątkiem dr. Dwernickiego przez profesorów uniwersytetu, omówiły wszechstronnie naszą Konstytucję, w różnych jej punktach, wytykając w niej luki, braki, oraz interpretując ustępy wątpliwe. Obecnie ukazały się one w oddzielnej książce.

Każdy odczyt stanowi jakby całość zamkniętą i poświęcony jest specjalnym zagadnieniom; i tak: prof. Michał Rostworowski miał trzy odczyty: „Zagadnienia ogólne", „Ustawodawstwo", „Autonomja Śląska"; prof. Stanisław Kutrzeba mówił o „Konstytucji i tradycji polskiej"; prof. Stanisław Estrajcher wygłosił dwa odczyty „Zasada zwierzchnictwa narodu", oraz „Przewodnia myśl Konstytucji polskiej w porównaniu do konstytucji obcych"; prof. Władysław Leopold Jaworski miał dwa także odczyty p. t. „Rząd" i „Państwo praworządne"; prof. Stanisław Wróblewski mówił o „Sądownictwie"; prof. Władysław Abraham o „Konstytucji, stosunkach wyznaniowych i kościele"; prof. Fryderyk Zoll o „Konstytucji i oświacie"; wreszcie dr. Tadeusz Dwernicki „O prawach i obowiązkach obywatelskich".

Chcąc należycie omówić te odczyty, należałoby każdemu z nich poświęcić artykuł specjalny, co doprowadziłoby właściwie do napisania drugiej książki. Wobec braku miejsca w „Tygodniu Polskim", ograniczyć się muszę z konieczności na punktach najważniejszych, poruszonych w tych odczytach. Zacznę od ustępów Konstytucji, nastręczających wątpliwości w interpretacji.

Przedewszystkiem więc chodzi tu o uchwalenie projektu praw przez Sejm i Senat. Otóż, o ile ciała te są zgodne, to sprawa przedstawia się jasno w zakresie ich praw. O ile jednak istnieje między niemi różnica zdań, to występują tu wątpliwości. Senat może projekt prawa uchwalony przez Sejm albo zmienić, albo też całkowicie odrzucić; w pierwszym wypadku sprawa wraca do Sejmu, który albo może wszystkie poprawki Senatu przyjąć, albo wszystkie odrzucić — utrzymując brzmienie pierwotne; albo też, co nie jest wyraźnie przewidziane, ale co wynikałoby logicznie — niektóre poprawki przyjąć, inne zaś odrzucić. Dla przyjęcia poprawek wystarcza większość zwykła, a dla ich odrzucenia większość $^{11}/_{20}$. „Przy tem ostatecznem ustaleniu brzmienia, mówi prof. Rostworowski, nie może jednak Sejm, mojem zdaniem, wprowadzać zmian innych, oprócz poprzednio wskazanych i ustalać tekst taki naprzykład, co do którego Senat nie miał możności się oświadczyć. Gdyby Sejm to uczynił, nie mogłaby wejść w zastosowanie giljotyna art. 35 ust. 3, a projekt musiałby raz jeszcze, tak jak nowy projekt, wrócić do Senatu" [1]). Interpretacja powyższa wydaje mi się zupełnie słuszną, ponieważ tendencją Konstytucji naszej jest, aby Senat mógł zawsze opinję swoją wypowiedzieć o każdym projekcie praw, zmiana zaś pierwotnego projektu jest oczywiście projektem nowym.

Druga wątpliwość polega na tem, co będzie, gdy Senat odrzuci całkowicie projekt, przyjęty przez Sejm. Art. 35 nie mówi o tem, trzeci jego ustęp brzmi bowiem dosłownie: „Jeżeli Sejm zmiany przez Senat proponowane uchwali zwykłą większością głosów, albo odrzuci większością $^{11}/_{20}$ głosujących — prezydent Rzeczypospolitej zarządzi ogłoszenie ustawy w brzmieniu ustalonem ponowną uchwałą Sejmu". Tekst mówi więc tylko o proponowanych przez Senat zmianach, ale nie o odrzuceniu całego projektu.

Prof. Rostworowski wyciąga z faktu tego wniosek, że art. 35 Konstytucji zastrzega Senatowi prawo odrzucenia projektu, że nie dopuszcza stosowania w Sejmie do uchwały odrzuconej przez Izbę drugą systemu giljotynowego, przewidzianego przy poprawkach. Ta różnica odmiennego traktowania wynika z różnicy między zmianą, która przypuszcza ze strony Senatu, bądź co bądź, częściową przynajmniej zgodę na projekt Sejmowy, a odrzuceniem, które zdradza zupełną rozbieżność zdań obu ciał ustawodawczych.

Zdaniem prof. Rostworowskiego za interpretacją powyższą przemawia ta okoliczność, że zarówno projekt rządowy z czasów gabinetu Skulskiego (art. 26), jak i projekt komisyjny (Dr. n. 1781 art. 35), przewidywały, że nawet w razie całkowitego odrzucenia przez Senat projektu prawa przyjętego przez Sejm, może on, kwalifikowaną większością, odrzucony przez Izbę drugą projekt raz jeszcze uchwalić. Przy drugiem czytaniu ustęp powyższy skreślono i do tekstu Konstytucji w art. 35 nie wrócił on już więcej.

I tę interpretację należy uznać za słuszną, nie mogę natomiast powiedzieć tego o innych dwu interpretacjach prof. Rostworowskiego, dotyczących ogłaszania ustaw przez prezydenta Republiki oraz autonomji województw.

[1]) Nasza Konstytucja, str. 64.

Prof. Rostworowski, wskazując słusznie na to, że Konstytucja nasza nie określa terminu, w którym prezydent powinien podpisać i ogłosić ustawy, które, zgodnie z przepisami, przeszły przez obie Izby, oraz że Konstytucja usunęła jego veto—sądzi jednak, że nie ma on obowiązku, wbrew swojej woli, podpisywania ich i ogłaszania.

Otóż tego rodzaju interpretacja jest zbyt dowolną i idzie za daleko, gdyż cytowany już wyżej art. 35 Konstytucji mówi wyraźnie, że po określonych poprzednio warunkach w obu Izbach— „Prezydent Rzeczypospolitej *zarządzi* ogłoszenie ustawy...“

Artykuł ten nie przewiduje więc możliwości nie ogłoszania ustawy, która przeszła przez Izbę, więcej nawet wskazuje na to, że prezydent zarządzi jej ogłoszenie. Art. 35 nie mówi nic o masie, gdyż zwrot tego rodzaju nie jest na miejscu. Nie określa on też terminu ogłaszania ustaw, ale z tego nie wynika, aby prezydent mógł ich, wbrew Izbom, nie ogłaszać. W praktyce prezydent może, pod jakimś pozorem opóźnić ogłoszenie ustaw, ale może oczywiście ogłoszenia tego odmówić.

Trudno też się zgodzić z twierdzeniem prof. Rostworowskiego, że Konstytucja nasza nie określiła wzajemnego stosunku prezydenta i rządu do ciał ustawodawczych. Wszyscy prawie inni prelegenci podkreślali skrajnie parlamentarny charakter rządu w tej Konstytucji i, jak zobaczymy dalej, krytykowali ją z tego względu. Otóż nie ulega wątpliwości, że skoro rząd u nas jest politycznie odpowiedzialny przed Sejmem, to stosunek jego do tego ciała jest zupełnie wyraźny.

Ponieważ prezydent, przy rządach parlamentarnych, a nawet monarcha działają przez odpowiedzialnych ministrów, zależnych od parlamentu — nie mogą więc, wbrew niemu, nie mając zastrzeżonego prawa veta nie uznać uchwał przez niego powziętych.

W danym wypadku najdalej idąca interpretacja, choć także wątpliwa, ale mniej dowolna od interpretacji prof. Rostworowskiego byłaby następująca: Skoro rząd ale nie prezydent sam uznałby uchwałę jakąś przyjętą przez Izbę za szkodliwą, wówczas mógłby zaproponować prezydentowi porozumienie się z senatem co do rozwiązania Izb, wrazie zgody senatu większością $^3/_5$ głosów rozwiązanie mogłoby nastąpić, a nowe izby ponownie by rozpatrzyły sprawę. Wówczas brak terminu ogłaszania ustaw mógłby umożliwić odwołanie się do narodu.

Art. 3 Konstytucji naszej głosi: „Rzeczpospolita Polska, opierając swój ustrój na zasadzie szerokiego samorządu terytorjalnego, przekaże przedstawicielstwom samorządu właściwy zakres ustawodawstwa, zwłaszcza z dziedziny administracji, kultury i gospodarstwa, który zostanie bliżej określony ustawami państwowemi“.

Prof. Rostworowski zwraca uwagę w swym artykule o autonomji Śląska na tę okoliczność, że samorząd w przeciwstawieniu do autonomji, w jednem państwie, może mieć kilka stopni hierarchicznych.

Może więc być samorząd wojewódzki, powiatowy, gminny, ale nie może być władzy ustawodawczej, poza państwem w tych wszystkich jednostkach terytorjalnych, autonomję mogą posiadać tylko jedne z nich, nap. województwa. Uwaga ta jest oczywiście słuszną. Z tych jednak racjonalnych przesłanek prof. Rostworowski wyprowadza nieuzasadnione, zdaniem mojem, wnioski.

Zestawiając powyższe uwagi z art. 3 Konstytucji, w którym mowa jest o przedstawicielstwach samorządu wogóle, a więc różnych stopni od gminnych aż do wojewódzkich — mówi on, wbrew wyraźnemu brzmieniu art. 3, że właściwie nie chodzi tu o autonomję pewnych jednostek terytorjalnych, gdyż należałoby ją zastosować od góry do dołu, lecz o zgoła coś innego.

Zdaniem prof. Rostworowskiego art. 3 „Mówi o samorządzie — stwierdza, że zamiarem prawodawcy jest przyjąć zasadę „szerokiego samorządu, to znaczy wyjść poza granice „ciasnego“ samorządu... Logicznie wiąże się z tem myśl następna, udotowania tegoż samorządu w moc regulowania pewnych materji wyjętych z pośród innych materji ustawodawstwa, a ten zakres, o którym mówi art. 3, ma wtedy treść „rzeczową“, nie „formalną“, a więc materji zwłaszcza z dziedziny administracji, kultury i gospodarstwa.

Udotowany w ten sposób samorząd nie przestanie być samorządem, to znaczy, będzie mógł regulować powyższe materje za pomocą uchwał ciał przedstawicielskich bez pretendowania do stanowienia ustaw lokalnych, a uchwały powzięte szeregować się będą w logicznej kategorji rozporządzeń administracyjnych równie ogólnych, jak są niemi i być mogą rozporządzenia normatywne innych władz administracyjnych“ [1]).

Całe powyższe rozumowanie jest zupełnie dowolne i czysto formalne, nie oparte na ścisłych podstawach.

Istotnie, skoro są w Konstytucji luki, albo niejasności, to przy ich interpretowaniu należy się kierować tendencją Konstytucji, oraz wychodzić z założenia, że luki te są możliwie małe i nie odbiegające od tekstu Konstytucji. Mając tu na względzie wspomniany już art. 3, należy zwrócić uwagę na to, że wszystko w nim byłoby zrozumiałe, gdyby wskazał on wyraźnie na to, że atrybucje ustawodawcze nadane będą tylko samorządowi wojewódzkiemu. Tu tkwi cała luka, którą można wytłumaczyć w ten sposób, że przyszła ustawa wskaże, jakie zgromadzenia samorządowe i w jakim zakresie otrzymają atrybucje ustawodawcze, czyli autonomiczne.

Powyższa interpretacja ma to za sobą, że nie wymaga przypuszczenia, że twórcy Konstytucji użyli zupełnie błędnie i lekkomyślnie terminu „zakres ustawodawstwa“. Moja interpretacja przypuszcza tylko brak sprecyzowania pewnych rzeczy, interpretacja prof. Rostworowskiego przypuszcza zgoła niewłaściwe używanie terminów prawnych.

Przypuszczenie, że dla organów samorządu pewne działy z właściwego ustawodawstwa będą przekazane administracji i że zakres spraw, o którym mówi art. 3, ma charakter „rzeczowy“, a nie „formalny“ jest zupełnie sztuczne.

Zresztą inny prelegent prof. Zoll, w swym odczycie, bez uzasadniania szczegółowego, uważa też, że art. 3 ma na myśli autonomję.

---

[1]) st. 180.

Sprawom tym spornym poświęciłem tyle miejsca, ponieważ są one nadzwyczaj ważne, zarówno teoretycznie, jak i praktycznie.

Z powodu braku miejsca nie mogę innym zagadnieniom poświęcić tyle uwagi. Zatrzymam się więc tylko na najważniejszych punktach krytyki naszej Konstytucji, ujawnionej w książce.

(*D. n.*). ***Ludwik Kulczycki.***

Czy nam danina pomoże? [1]

III

Dokładne zorjentowanie się w przyczynach, obniżających wartość marki polskiej na wewnętrznym rynku, i wyjaśnienie miejsca jej największego skupienia — potrzebują przedewszystkiem dokładnego odróżnienia tych dwóch jednoczesnych, samodzielnych i zasadniczo wzajemnie wykluczających się organizacji ekonomicznych: Jedna młoda, oficjalna, wzmagająca się w podstawie odrodzonej państwowości polskiej i z jej pomyślnym rozwojem bezwzględnie związana, produkuje miljardowe ilości drukowanej marki, — druga nie oficjalna z tradycją sięgającą kilku ostatnich stuleci przedrozbiorowego okresu, kiedy nietylko handel i przemysł ale i bicie fałszywej monety było jej niezaprzeczonem, powszechnie uznanem prawem, — udoskonalona w rosyjskim i austryjackim zaborze, nic wspólnego z odrodzoną Polską nie ma, i posiada jedyną powszechnie znaną instytucję, tak zwaną czarną giełdę — bezwzględnie panującą nad naszą marką. Przyznać musimy, że w swobodnej, odrodzonej Polsce przewaga dotychczas pozostaje po stronie tej drugiej odwiecznej organizacji, pracującej w tradycyjnym półcieniu nad opanowaniem naszego stanu ekonomicznego.

W swej bezgranicznej pomysłowości wynajduje ona sposoby, prawdziwe znaczenie których zrozumieć można tylko z wielkim trudem. Tak straciwszy punkt oparcia w egoistycznych i hamujących samodzielny rozwój społeczeństwa rosyjskim i austrjackim imperjalizmie, z powodzeniem eksploatuje niemniej ciemny i egoistyczny imperjalizm nieuświadomionych mas, pchając je do przedwczesnych i zgubnych eksperymentów socjalnych.

Jednocześnie stojąc mocno na szczycie międzynarodowego kapitalizmu, wszelkiemi jawnemi i tajnemi sposobami opanowuje pieniężny rynek nowo powstałego państwa polskiego. — Ostatni pomysł w postaci ryczałtowego i nadmiernego podniesienia pierwotnej ceny produktów, za pomocą którego nie tylko w zarodku niszczy się wszelka konkurencja, lecz i najpomyślniej wypompowuje się cały zapas marek jak od producenta, tak i od konsumenta, daje jej możność, zjadając żółtko naszej waluty, z białka zbijać wysoką lecz krótkotrwałą i bezwartościową pianę. — Bezwzględna konieczność najrychlejszego zniwelowania dzielnicowych odrębności ostatecznie przełamała obronny mur Wielkopolski, po za którym marka polska przez dłuższy czas broniła swojej wewnętrznej wartości—i dziś na całym obszarze Rzeczypospolitej zapanował podziwienia godny ekonomiczny fenomen, przy którym najzupełniej dostateczny zapas produktów pierwszorzędnej potrzeby nie jest dostępny dla ogromnej większości społeczeństwa jedynie dlatego, że nie posiada ona potrzebnej ilości marki, pochłanianej do ostatka przez idealnie zorganizowaną warstwę pośredników handlowych. Fakt ten nieomylnie wskazuje miejsce największego skupienia marki polskiej i obala legendę o ujarzmieniu jej w workach i kufrach chciwego i skąpego wiejskiego producenta. W istocie mamy tu do czynienia z wyjątkowo pomysłową kombinacją, której zawdzięczając, wiejski wytwórca ma wygląd człowieka z szeroko otwartemi pustemi ustami, pomimo, że co chwila podnosi pełną łyżkę do gęby, — a miejski konsument zdaleka śledząc jego ruchy, ze skrzywionemi i zaciętemi ustami, za wszystkie swoje marki, otrzymuje taką odrobinę, dla której nawet ust otwierać nie warto. Jest więc ta legenda jedynie parawanikiem dla przykrycia prawdy, a także doskonałym środkiem jeszcze większego zaostrzenia klasowych nieporozumień.

Jeszcze bardziej fatalną jest legenda o umysłowem ograniczeniu i ciemnocie naszego wiejskiego pracownika, której zawdzięczając dokładność i energja jego czynu i łatwość orjentacji w najbardziej podstawowych dla naszej państwowości sprawach — służą często objektem zaciekłego, lecz beznadziejnego zwalczania. Odczuwając wiecznie chwiejący się ekonomiczny grunt — trzyma on mocną ręką produkta swej całorocznej pracy, wyczekując najkorzystniejszego momentu dla otrzymania za nie potrzebnej mu ilości desek, gwoździ, skóry i wszelkiego rodzaju materjałów. Konieczność płacenia za naszą krajową sól do 40 mk. za funt, lub fakt podskoczenia w przeciągu paru tygodni ceny na calową deskę z 400 do 1000 i więcej marek za metr, — podnieca jego baczność i zmusza do uznania słuszności odwetowego podniesienia ceny za jaja, masło i sporządzonego za pomocą tej deski mieszkania dla letników.

Wszystkie sposoby zwalczania paskarskich cen za pomocą najostrzejszych środków, oddawna stosowane przez Rząd, nie dały pomyślnych rezultatów i w ostatecznym wyniku mogą być porównane do uderzenia młotem po gwoździu, przyczem główka trochę się płaszczy, ale gwóźdź zagłębia się i umacnia, ostrym swoim końcem przenikając często tam, gdzie go najmniej pożądano... Doskonałą ilustracją pod tym względem może posłużyć sprawa jaj, dla których na podstawie pewnych danych naznaczona była przed świętami B. N. urzędowa cena po 9 marek za sztukę, co też i wykonały niektóre kooperatywy. Lecz w wolnym handlu jaja momentalnie zginęły, co nie przeszkodziło im przeniknąć niewidzialną drogą nietylko za bolszewicką i niemiecką granicę, lecz i do jawnie czynnych zamożniejszych kuchni, jadłodajni, restauracji, cukierni, na obchody sylwestrowe i niezliczone bale pod postacią pieczywa, ciasteczek i tak niezbędnych dla warszawian pączków, zjadanych prawdopodobnie i przez czynniki określające normalne ceny. Nie było też sekretem, że cena za jajko oznaczała się od 50 do 100 mk. za sztukę, a przy walutowych kombinacjach na granicy—prawdopodobnie i wyżej. Nie podlega wątpliwości, że pomysłowy i sprytny pośrednik pomiędzy kurą i konsumentem otrzymał zasłużoną nagrodę w postaci niejednego miljarda marek. Ponieważ w ostatniem przemówieniu prezesa ministrów w Sejmie była wzmianka o ograniczeniu wywozu jaj za granicę — trzeba przypuścić, że kury niezwłocznie

[1]) Patrz „Tydzień Polski“ № 9 i 10.

zastrajkują i będziemy musieli zadowolić się wystawionemi w cukierniach jajami z bibuły i drzewa, bez wszelkiego udziału cukru, który od 24 marca ulotnił się najniespodziewaniej i teraz może być zdobyty z trudnością po znacznie zwyższonych cenach. Są jednak wiadomości, że w hurtowych składach niezmierna ilość worków z cukrem doprowadza do rozpaczy ich właścicieli.

Próby rządowe dostarczenia konsumentom produktów pierwszorzędnej potrzeby z pominięciem pośrednika, za pomocą bezpośredniego zakupu i kartkowego systemu — nie dały też pomyślnego rezultatu, obciążając budżet państwowy miljardowemi długami za zgniłe śledzie z Holandji, nie dostarczony chleb z Rumunji i t. d., przyczem pośrednik w zdobyciu waluty i produktów zysku swego nie stracił. Państwowe produkty, jak sól, nafta, węgiel, nie ominęły też opieki pośrednika, dając mu setki procentów zysku. Ostateczna kapitulacja rządu i organów samorządowych przed czynnikiem obniżającym wewnętrzną wartość marki polskiej, uwydatniła się w konieczności wstąpienia ich na drogę coraz większego podniesienia cen za przejazd i przewóz towarów na kolejach, w tramwajach, za gaz, elektryczność, kanalizację, wodę i t. d. Widzimy więc, że sfery rządzące bez pomocy samego społeczeństwa zwalczyć wyżej wymienione czynniki nie są w stanie.

(D. n.). *Teodor Hryniewski.*

Projekt „Miast Rolników".

Z niezmiernie ciekawym i zasługującym na uwagę szerszej publiczności projektem wystąpiła *p. dr. Daszyńska-Golińska* na łamach ostatniego zeszytu „Ekonomisty" (za III i IV kwartał r. 1921 ukazała się odbitka). Projekt ten przewiduje tworzenie przy każdem mieście powiatowem w Państwie Polskiem dzielnic rolników, w którychześrodkowywałyby się działania przemysłowo-i handlowo-rolnicze i które przygotowałyby ludność do postępów w gospodarce rolniczej. W tych dzielnicach skupiałyby się instytucje kooperatyw, kółek rolniczych, sejmików i Rządu, zarówno handlowe i przemysłowe, jak i humanitarne, szkolne i oświatowe, oraz zakłady drobnego kredytu i urzędy. W myśl ustawy z 15 lipca 1920, art. 25, na budowę tych dzielnic oraz na wszelkie niezbędne w nich urządzenia Rząd udzielałby bezpłatnie terenu na gruntach, przytykających bezpośrednio do miasta powiatowego. Instytucjom społecznym i samorządowym, które przedstawią plany zabudowań, Rząd dostarczy bezpłatnie materjału drzewnego na budowę. Przedsiębiorcy prywatni po zezwoleniu na otwarcie zakładu otrzymają zakredytowany materjał drzewny budowlany. W myśl Tymczasowej Ustawy o sfinansowaniu reformy rolnej z 16 lipca 1920 (art. 2 i 13), Rząd będzie zasilał kredytem oraz subwencjonował instytucje i przedsiębiorstwa spółdzielcze i samorządowe, które powstaną na terenie dzielnicy rolników w mieście powiatowem.

Projekt powyższy dr. Daszyńska Golińska przedstawiła w formie ustawy, zredagowanej w 10 artykułach. Gdyby projekt ten na mocy uchwały Sejmu stał się ustawą, wykonanie jej jako dopełnienie przepisów o reformie rolnej byłoby powierzone Głównemu Urzędowi Ziemskiemu ze współudziałem ministra rolnictwa oraz innymi zainteresowanymi ministrami.

Oto główne zasady projektu stworzenia „Miast Rolników", zainicjowanego przez p. dr. Daszyńską-Golińską.

Projekt wyżej streszczony zasługuje na gruntowną ocenę zarówno z punktu widzenia prawniczego, jak i ekonomicznego. Nie wątpiąc, iż ujęcie prawnicze tego projektu zainteresuje specjalistów do odpowiedniej oceny powołanych. Zastanowimy się tutaj nad jego uzasadnieniem gospodarczem.

P. dr. Daszyńska Golińska wychodzi z założenia, że o ile reforma rolna ma uzdrowić nasze stosunki wiejskie, musi mieć na uwadze nietylko obdzielenie włościan małorolnych i bezrolnych ziemią, nietylko uprzemysłowienie i uhandlowienie naszego rolnictwa, lecz również i rozsiedlenie ludności. Dotychczas w zakresie polityki ludnościowej byliśmy bierni. Rządy zaborcze nie przykładały u nas żadnej wagi do poczynienia jakichkolwiek zmian w tej dziedzinie. Przeciwnie, utrzymanie status quo było im na rękę. Przeludnienie bowiem wsi stwarzało emigrację, przewaga elementów niepolskich w miastach osłabiała znaczenie żywiołu polskiego w kraju, szczególnie w przemyśle i handlu. Słusznie więc zauważa p. dr. Daszyńska-Golińska, że należy odciążyć wieś „z nadliczbowych elementów, które nie znajdą dla siebie zarobku we właściwem gospodarstwie rolnem, i przyciągnąć do miast tę część ludności włościańskiej, która powiększy w nich polskie mieszczaństwo". Jakież środki zaleca autorka celem osiągnięcia tego wzmożenia się pod względem liczebnym mieszczaństwa polskiego w miastach? Pani dr. Daszyńska-Golińska proponuje stworzenie Miast Rolników, przytykających do dawnych miast powiatowych, które skupią u siebie ten nadmiar ludności wiejskiej, który powoduje przeludnienie naszej wsi i którego nie będzie w stanie usunąć nawet reforma rolna, przeprowadzona w całej swej rozciągłości, nie ulega bowiem wątpliwości, iż reforma rolna nie będzie mogła doprowadzić ilości warsztatów pracy rolnej do liczby wystarczającej dla wszystkich rodzin wiejskich, łaknących ziemi.

O ile jednak „Miasta Rolników" rzeczywiście pozwolą temu nadmiarowi ludności wiejskiej znaleźć w murach swych odpowiednie zatrudnienie, nie rozwiążą one jednak sprawy wadliwej struktury pod względem ustosunkowania poszczególnych narodowości samych miast powiatowych. Autorka przewiduje, że część ludności, której nie dogadzają warunki dawnego miasta powiatowego i która właśnie wznosi nowe budynki mieszkalne, przeciągnie na terytorjum Miasta Rolników.

Dotychczas w b. Król. Kongresowem odsetek ludności żydowskiej w niektórych miastach powiatowych dochodził do 90%, przeciętnie zaś wahał się od 40 do 60%. Po powstaniu Miast Rolników żywioł polski w miastach powiatowych nietylko by się nie wzmocnił, ale nawet osłabił.

Rezultat byłby ten, że handel artykułami rolniczemi przeszedłby ewent. w ręce polskie, handel zaś wszystkiemi innemi artykułami byłby nadal monopolem w rękach żywiołów niepolskich. Realizacja projektu p. Daszyńskiej-Golińskiej może w znacznym stopniu ułatwić wprowadzenie w życie reformy rolnej, nie rozwiąże natomiast kwestji ustosunkowania poszczególnych narodowości w miastach. Wygląd miast naszych pozostanie ten sam, a nawet zmienić

się może na niekorzyść żywioła polskiego. Uważam, iż najpilniejszem zadaniem zdrowej polityki ludnościowej winno być zachęcanie do osiedlania się ludności polskiej w centrach miast, a nie wyłącznie tylko na gruntach, przymykających do tych miast. W obecnych warunkach, ogromnie niesprzyjających miejskiemu ruchowi budowlanemu, projektowane przez p. Daszyńską-Golińską Miasta Rolników byłyby budowane w najlepszym razie tylko prowizorycznie, byłyby pozbawione nowoczesnych urządzeń miejskich, tak dziś ogromnie kosztownych. W chwili obecnej, kiedy skutkiem drożyzny materjałów budowlanych przedsiębiorczość budowlana zupełnie prawie zanikła i nawet nie są podejmowane roboty nad odnawianiem starych domów, przy ogromnych naturalnie wysiłkach i znacznym kredycie rządowym byłoby możliwe stworzenie najwyżej tylko kilku tego rodzaju skupień miejskich. A czy nie byłoby bardziej wskazane, miast wyrzekać się „dotychczasowych drobnych warsztacików, brudnych sklepików, klitek zamiast domów mieszkalnych“ (str. 20) i przenosić się i budować nowe sklepiki i domy w Miastach Rolników, podjąć prace nad rozszerzeniem dotychczasowych warsztatów pracy w miastach powiatowych i odnowieniem czy przebudową brudnych sklepików i domów? Kredyt rządowy, przeznaczony na ten cel, byłby w wysokim stopniu produkcyjny.

Projekt p. dr. Daszyńskiej-Golińskiej może stanie się dopiero w przyszłości niezmiernie doniosły. Nastąpi to jednak dopiero po dokonaniu sanacji stosunków ludnościowych w miastach obecnie istniejących i przedewszystkiem po unormowaniu się cen artykułów budowlanych.

W pracy swej p. dr. Daszyńska-Golińska poruszyła jednocześnie ogromnie ważną sprawę kooperatyw rolnych, które stałyby się podstawą organizacji życia gospodarczego „Miast Rolników“. Kooperatywy stanowiłyby organizacje producentów wiejskich z nieograniczoną liczbą członków oraz możnością powiększenia jej nowym napływem. Każdy producent, będący członkiem kooperatywy rolnej, byłby jednocześnie nabywcą i dostawcą. Jako jednostki prawne, zakładałyby one spółki wytwórcze i handlowe. Organizacja kooperatyw, projektowana przez p. dr. Daszyńską-Golińską, przypominałaby system, stosowany przez Związki Kooperatyw, zakładające fabryki i otwierające sklepy oraz składnice. Na ziemiach polskich ruch współdzielczy w ostatnich czasach ogromnie się rozwinął, lecz na wsi rozmiary jego są jeszcze niewielkie. Spółdzielnie rolniczo-handlowe, których zadaniem jest usunięcie szkodliwych dla rozwoju naszego rolnictwa pośredników, zbliżone są raczej do spółek handlowych, opartych na zasadach organizacji kapitalistycznych, i pozbawione są charakteru czysto spółdzielczego. W okresie istnienia Niepodległej Polski szczególnie na wsi zaznaczył się wydatny rozwój kooperatyw spożywczych. Te Spółki, zdaniem p. Z.-D., należy skupić w centralnych stowarzyszeniach i składnicach, których siedzibą byłyby „Miasta Rolników“. W tych ostatnich winien się również ześrodkowywać w miarę możności cały przemysł rolny. Słusznie zauważa p. dr. D.-G., iż „planowa organizacja uprzemysłowienia rolnictwa, wprowadzenia wytworów tegoż w racjonalny obrót handlowy, uczyni z włościanina wytwórcę, który swój grunt uważać będzie za warsztat pracy nietylko dla osobistego zaspokojenia potrzeb rodziny, ale i za przedsiębiorstwo, w którem kalkulacja pokieruje produkcją i kierować nią będzie według możności i stopy zysku“. Skoro bowiem w Polsce przeważać ma drobne gospodarstwo, winniśmy postarać się o wciągnięcie go w obręb ogólno-ekonomicznego życia kraju i to w tempie możliwie przyspieszonem.

Godząc się najzupełniej z temi ostatniemi wywodami p. dr. Z.-D., zauważę jednak, iż zasady wyżej wyłuszczone można byłoby wcielić w życie niezależnie od wybudowania Miast Rolników, którego uskutecznienie możliwe będzie w odległej przyszłości. Centrale współdzielcze, o których mowa jest w pracy p. dr. Z.-D., można zakładać z jednakowym pożytkiem dla interesów naszego rolnictwa w istniejących miastach powiatowych, co pozwoli stworzyć przeciwwagę dla handlu, ześrodkowanego w rękach niepolskich. W ten sposób osłabnie rola żywiołu niepolskiego w handlu krajowym i stanie się możliwe spolszczenie naszych miast i miasteczek.

Leon Pączewski.

Rewolucja rosyjska i niepodległość Polski.

IV.

Polacy i rewolucja.

Nieoczekiwana wiosna 1917 r., jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, zmieniła do niepoznania wygnańcze życie polskie w Rosji.

Stopniały śniegi i śród powszechnego wylewu wyzwolone z zimowego okucia wychodziły z przymusowego ukrycia na powierzchnię i polskie strumienie, głosząc otwarcie już nie żale i skargi, lecz żądania i nadzieje polskie. W owe promienne dnie marcowe, kiedy cała ludność Rosji wyszła na ulicę i wiecowała od rana do wieczora, prowadząc nieskończone spory i wynosząc niezliczone uchwały, wystąpili i Polacy ze swojemi wiecami, mowami i uchwałami. We wszystkich większych skupieniach uchodźtwa polskiego tworzyły się polityczne kluby i komitety, ogólno-narodowe lub partyjne i hasło niepodległej Polski rozbrzmiewało od Mińska do Władywostoku i od Archangielska do Taszkientu i Tyflisu. A razem z tem hasłem powtarzany po polsku i rosyjsku okrzyk: „za waszą i naszą wolność“! Słowami temi kończy się odezwa rządu tymczasowego do Polaków, słowa te znajdziemy w nieskończonym szeregu adresów, mów, artykułów i uchwał z tego okresu. Zdawało się, że okrzyk ten „za waszą i naszą wolność“, który w roku 1831 polska rewolucja rzuciła Rosji, a którego Rosja nie usłyszała, zamarł wówczas w nieruchomem powietrzu, zamrożony lodowem tchnieniem zimy rosyjskiej, a teraz odmarzł z wiosną i przeleciał nad przestrzenią obszernego państwa, którego ludy budziły się do nowego życia...

Wiece polskie z ich niepodległościowemi uchwałami, mowami i powitaniami były w większej części skupień wygnańczych, rozsianych na ogromnej przestrzeni, już odpowiedzią na manifest rządu tymczasowego. W Piotrogro-

dzie zaś i Moskwie polskie wiece i deklaracje niepodległościowe miały miejsce w pierwszych dniach rewolucji i nie powinny być pominięte w historji powstania aktu 30 marca. W Piotrogrodzie pierwszym odezwał się głos młodzieży.

Dnia 2 (15) marca wiec polskiej młodzieży akademickiej uchwalił następującą rezolucję:

1) „Od wieku naród polski walczy o wolność wszystkich ludów i swoją własną niepodległość. W chwili dzisiejszej młodzież polska na emigracji wita z radością powodzenie nowego sprzymierzeńca w naszej walce w osobie wyzwolonej demokracji rosyjskiej. Życzymy jaknajszybszego odrodzenia narodu rosyjskiego w ramach prawdziwie demokratycznego ustroju. Niech żyje wolna i wolność niosąca Rosja.

2) Uznając, że każdy naród ma prawo do stanowienia o losach swoich, stoimy niewzruszenie na gruncie państwowości polskiej i obrony niepodległości narodu polskiego, wierzymy, że wolna, demokratyczna Rosja znajdzie się w dobrych i serdecznych stosunkach z wolną i demokratyczną Polską" [1]).

Dnia 5 (18) marca Polski Komitet Demokratyczny, witając zwycięstwo rewolucji rosyjskiej i stwierdzając, że Polacy są zainteresowani w utrwaleniu nowego porządku i zatem powinni współdziałać z demokracją rosyjską, oświadczał w odezwie wydrukowanej w polskich i rosyjskich dziennikach, że „Rosja winna uznać niepodległe państwo polskie, którego formę konstytucyjną określi polski Sejm Ustawodawczy, zwołany na podstawie powszechnego, bezpośredniego, równego i tajnego głosowania [2]).

Analogiczną rezolucję uchwalił w Moskwie tłumny wiec, zwołany 10 (23) marca w Kolizeum przez Polski Klub Demokratyczny.

7 (20) marca przemówili posłowie polscy do Dumy i Rady Państwa i Komitet Narodowy. Wspólna ich deklaracja, witając „wyzwolenie się bratniego narodu rosyjskiego z pęt samowładztwa", oświadcza, że „Polacy, stojąc po stronie Rosji i Koalicji antyniemieckiej, rozumieli, że zwycięstwo tych państw, które na swym sztandarze wypisały hasło zjednoczenia Polski i hasło równego prawa wszystkich narodów do samoistnego bytu, musi z konieczności ziścić niezmienne dążenia narodu polskiego do odzyskania zjednoczonej i niepodległej ojczyzny".

Dalej deklaracja wyjaśnia, dlaczego przedtem reprezentacja polska nie stawiała postulatu niepodległości:

„Posłowie Polscy i Komitet Narodowy wytrwali na raz obranej drodze, mimo wszystkie trudności, płynące z dawnego politycznego ustroju Rosji, bacząc, aby z przeciwieństwa, jakie zachodziło między dążeniami polskiemi do wolności a reakcyjnem stanowiskiem upadłego rządu, nie wytworzył się konflikt polskiego narodu z narodem rosyjskim"...

Zaznaczywszy następnie, że sytuacja zmieniła się, kiedy w Rosji odniosła zwycięstwo wolność, podkreśliwszy solidarność interesów Polski z Rosją w wojnie, deklaracja kończy temi słowy: „W dążeniu naszem do zjednoczenia i niepodległości Polski widzimy w odrodzeniu Rosji nowy czynnik, zbliżający nas do wielkiego celu" [1]).

Po rewolucji, jak już mówiliśmy wyżej, (roz. II), *wszystkie głosy polskie* oświadczyły się za niepodległością. Jeżeli jednakże w historji aktu 30 marca większą rolę przypisujemy i w tym okresie głosom obozu demokratycznego, to dlatego że obóz ten bliższym był do rządu wyłonionego z opozycji, z którą i dawniej utrzymywał stosunki.

O zamiarach starego rządu w sprawie wolnej Polski, zapowiedzianej przez cara w rozkazie do armji, dowiedział się pierwszy hr. Wielopolski na audjencji u Mikołaja II, pierwsze oświadczenie nowego rządu w sprawie niepodległości otrzymał Polski Klub Demokratyczny w Moskwie od Kiereńskiego.

Entuzjastycznie witany dnia 7 (20) marca w polskim klubie demokratycznym jako dawny przyjaciel niepodległości Polski, Kiereński oświadczył, że stanowisko jego w sprawie polskiej jest niezmienne i że dołoży starań, aby oficjalne uznanie niepodległości nastąpiło w jak najkrótszym terminie. Zastrzegł, wprawdzie, że mówi tylko w swojem imieniu bez porozumienia z rządem, ale wszystkim było wiadomem, że Kiereński jest wielką siłą w rządzie tymczasowym, chociaż formalnie jest tylko ministrem sprawiedliwości. W tej bowiem chwili, kiedy rząd o tyle tylko miał siłę i znaczenie, o ile miał za sobą zaufanie i poparcie mas, Kiereński, jako vice-prezes rady robotniczych i żołnierskich delegatów, leader eserów i najbardziej popularny mówca, porywający tłumy za sobą, miał wielkie znaczenie w rządzie, złożonym z ludzi więcej umiarkowanych i mniej popularnych.

Drugą zapowiedzią urzędową była depesza gratulacyjna komisarza rządu tymczasowego w Moskwie Kiszkina do Polskiego Klubu Demokratycznego, otrzymana i odczytana na wspomnianym już wiecu w Kolizeum 10 (23) marca.

Witając otwarcie polskiego klubu demokratycznego, komisarz rządu pisał że „tylko demokracja może urzeczywistnić oddawna pożądany sojusz powołanej do życia niepodległej Polski z wielką wolną Rosją" [2]).

Słowa te napisane na tydzień przed wydaniem manifestu świadczą o tem, że przedstawiciel rządu tymczasowego w Moskwie nie wątpił już wówczas co do poglądów rządu na tę sprawę. Należy dodać jeszcze, że Kiszkin był vice-prezesem centralnego komitetu partji k. d. a zatem można wnosić, że w atmosferze rewolucyjnej szybko dokonywała się zmiana w poglądach kadetów na sprawę polską.

Tak w tej gorącej atmosferze rewolucyjnej śród wypadków, rozwijających się z błyskawiczną szybkością, prędko dojrzewało rozwiązanie kwestji polskiej w umysłach rosyjskich, przy-

---

[1]) „Z dokumentów chwili" Nr 37, przedruk z „Dziennika Piotrogrodzkiego"".

[2]) „Echo Polskie" 7 marca 1917.

[1]) „Z dokumentów chwili" № 34 str. 30 — 32).

[2]) „Echo Polskie" 11 marca 1917.

gotowanych do tego rozwiązania i biegiem wydarzeń i propagandą, o której wyżej mówiliśmy. Oczekiwanie, że rząd tymczasowy wypowie się w sprawie polskiej, było powszechnem zwłaszcza z chwilą, kiedy ukazał się manifest 7 (20) marca, przywracający Finlandji dawne prawa konstytucyjne i kasujący wszystkie carskie ukazy, które pogwałciły konstytucję finlandzką.

Na kilka dni przed ogłoszeniem manifestu, zaczęły obiegać pogłoski, że w sprawie niepodległości Polski przygotowuje odezwę do Polaków piotrogrodzka rada delegatów robotniczych i żołnierskich. Odezwa taka rzeczywiście ukazała się na dwa dni przed odezwą rządu tymczasowego, co dało powód mówić, że manifest 30 marca został wydany pod naciskiem rady delegatów. Nie znamy jednakże faktów, świadczących, ażeby nacisk taki istotnie miał miejsce. Rada delegatów w dyplomację nie bawiła się i jeżeli czego domagała się od rządu, robiła to zupełnie jawnie.

Można mówić o wpływie osobistym Kiereńskiego, który niejako reprezentował w rządzie Radę delegatów z jej bowiem sankcji wszedł do gabinetu. A jeszcze w większym stopniu był to wpływ ogólnego nastroju, i ogólnego biegu wydarzeń, któremu ulegali i rada delegatów i rząd tymczasowy.

Rząd tymczasowy składał się przeważnie z kadetów, którzy w większości swojej przed rewolucją byli przeciw niepodległości. W radzie delegatów w pierwszym jej składzie kierowniczą rolę grali mieńszewicy, którzy przed rewolucją byli dla sprawy niepodległości Polski w najlepszym razie obojętnie albo sceptycznie usposobieni, traktując ją z punktu widzenia swojej teorji ekonomicznej, jako rzecz nie realną.

Zmieniła to rewolucja, której logika podyktowała i kadetom z rządu tymczasowego i socjaldemokratom z rady delegatów odezwę do Polaków, a ponieważ obie odezwy powstały niezależne jedna od drugiej, więc mają, jak zobaczymy dalej, pomimo wspólnej treści wręcz odmienne tendencje, odzwierciadlające rozbieżne nastroje sfer społecznych, reprezentowanych przez rząd tymczasowy i radę delegatów.

Oczywiście, że napisanie odezwy robotniczej wymagało mniej czasu, niż redakcja manifestu i statutu Komisji Likwidacyjnej, a te dwa akty, nie należy zapominać, były ściśle z sobą związane.

V.

Komisja Likwidacyjna i Manifest.

Odezwa rady delegatów robotniczych ukazała się 28 marca. Statut Komisji Likwidacyjnej był już wówczas zatwierdzony (ogłoszony następnego dnia 29 marca), a sprawa wydania manifestu była już zdecydowaną.

Wewnętrzna historja powstania i redagowania tych aktów, dotychczas jeszcze nigdzie nie ogłoszona, według informacji, udzielonych przez p. Lednickiego, który w całej tej sprawie brał najbliższy, udział przedstawia się, jak następuje:

24 marca wezwany telegraficznie przez Kiereńskiego do Piotrogrodu Lednicki był następnego dnia przyjęty przez prezesa ministrów ks. Lwowa, do którego zwrócił się z zapytaniem, kiedy rząd tymczasowy wypowie się w sprawie niepodległości Polski. Na to ks. Lwow odrzekł, że sprawa ta jako dotycząca polityki zagranicznej powinna być przedewszystkiem omówiona z Milukowem [1]). Konferencję z Milukowem Lednicki odbył na drugi dzień 26 marca. Milukow miał początkowo wątpliwości, czy rząd tymczasowy do Konstytuanty (uczreditielnoje sobranie) może rozstrzygnąć tak ważną sprawę, jak odłączenie Polski od Rosji, zgodził się jednakże na to, że rząd może wydać manifest, proklamujący niepodległość Polski, i stworzyć fakt, który przesądziłby sprawę. W toku tej rozmowy, zrodziła się myśl stworzenia Komisji Likwidacyjnej. Projekt Statutu Komisji Lednicki przedstawił nazajutrz (27) i projekt ten z niewielką poprawką, dotyczącą kościoła został zatwierdzony 28.

Statut Komisji Likwidacyjnej do spraw Królestwa Polskiego przesądza niepodległość Polski, albowiem punkt 2a statutu głosi, że Komisji Likwidacyjnej powierza się: wyświetlenie miejsc pobytu, stan majątku instytucji państwowych i społecznych Królestwa Polskiego, oraz określenie sposobu przechowania i zarządzania, *aż do czasu przekazania go państwu polskiemu.*

Statut Komisji Likwidacyjnej, poprzedzając manifest, był świadectwem, że manifest nie jest obłudną obietnicą, jak obietnice starego rządu. Nowy rząd zaczynał od realnego faktu, od likwidacji przeszłości, w tej mierze oczywiście, w jakiej mógł w danym momencie urzeczywistnić to. Mianowicie Rząd Tymczasowy polecił Komisji Likwidacyjnej (p. 2b) likwidację instytucji państwowych, które działały w Królestwie Polskiem, to jest likwidację dawnej administracji rosyjskiej Królestwa, którą rząd carski po ewakuacji zachowywał na dawnych stanowiskach, nie zważając na obietnice autonomicznej i wolnej Polski. Sama organizacja komisji była oparta na wręcz odmiennych podstawach, aniżeli carskie narady do spraw polskich.

Komisja Likwidacyjna składała się z przedstawicieli ministerstw (spraw wewnętrznych, zagranicznych, wojny, oświaty, sprawiedliwości) i z przedstawicieli polskich organizacji społecznych (Rady Zjazdów, Centralnego Komitetu Obywatelskiego, Piotrogrodzkiego Towarzystwa pomocy ofiarom wojny i Polskiego Komitetu P. O. W. w Moskwie) z wyboru tych organizacji, mianując prezesem komisji Polaka, rząd dawał w niej przewagę pierwiastkowi polskiemu. Prezesem Komisji Likwidacyjnej był mianowany prezes Rady Zjazdów organizacji polskich Lednicki.

Komisja Likwidacyjna była pierwszym realnym krokiem rządu tymczasowego na drodze likwidacji dawnych stosunków polsko-rosyjskich. I tylko zrobiwszy ten krok, rząd

[1]) Ks. Lwow był ministrem spraw wewnętrznych, Milukow — zewnętrznych.

tymczasowy miał prawo powiedzieć w manifeście, że „stary rząd dawał Polakom obłudne obietnice, które mógł, ale których nie chciał spełnić”.

Autorem manifestu był Milukow. 28 marca Milukow pokazał projekt manifestu Lednickiemu, który zrobił zastrzeżenia przeciwko dwom punktom: wzmiance o konstytuancie wszechrosyjskiej, która miała ustalić granice Państwa Polskiego i wzmiance o sojuszu militarnym Polski z Rosją. Na pierwszym punkcie Milukow był niewzruszonym, co do drugiego zrobił ustępstwo, zgodziwszy się na dodanie słowa „wolnym“ do słów „związku militarnym”.

Z tą poprawką Milukow tegoż wieczora jeszcze, 28 marca, wniósł manifest na posiedzenie rady ministrów, która projekt zatwierdziła. 29-go manifest był już podpisany, 30-go ogłoszony.

* * *

Odezwa, napisana przez Milukowa, wyrażała oczywiście, nie tylko jego osobiste poglądy, ale i poglądy rządu tymczasowego i społeczeństwa rosyjskiego, przez ten rząd reprezentowanego. Prasa rosyjska powitała manifest bardzo przychylnie, były objawy nawet entuzjastycznego przyjęcia tego aktu przez społeczeństwo rosyjskie. W jednym z teatrów moskiewskich manifest, otrzymany w Moskwie wieczorem 30-go, był odczytany z estrady i wywołał burzę oklasków.

Podniosły w owej chwili nastrój inteligencji rosyjskiej, która w upadku caratu widziała nie tylko tryumf wolności w Rosji, ale zapowiedź nowej ery odrodzenia ludzkości, doskonale oddają słowa Rodiczewa, na uroczystem posiedzeniu Komisji Likwidacyjnej, dnia 15 kwietnia:

„Wstępujemy obecnie w nowy okres nie tylko stosunków rosyjsko-polskich, lecz i stosunków ogólno-ludzkich. Przypadło nam w udziale ogromne szczęście zakładania nowych podwalin, gdy runął gmach ucisku ludów. Mamy pracować podczas burz i wichrów. Trzeba nam się wyrzec uczuć przeszłości, których pełen był naród w dawniejszych swoich egoistycznych dążeniach.” [1])

Przeczucie tego, czem się skończą te burze i wichry, nie psuło w tej chwili w Rosji ni ogólnego nastroju, ni harmonji nowych stosunków polsko-rosyjskich.

Jak się odniosły do manifestu szersze warstwy narodu rosyjskiego? Masy ludowe, oczywiście sprawą polską nie interesowały się, nie obchodziła ona ani chłopa, ani przeciętnego robotnika. Co się zaś tyczy rozagitowanej już warstwy proletarjatu miejskiego, którą reprezentowały rady delegatów, to ta miała swoją odezwę do polaków, która jej oczywiście więcej do smaku przypadała.

Na różnicy bardzo znamiennej między temi dwiemi odezwami, musimy zatrzymać się.

Krótka odezwa robotnicza, zawiadamiając Polaków, że „żandarm wszechrosyjski” nie istnieje i że wyzwolony naród rosyjski uznaje niepodległość Polski, „życzy Polsce powodzenia w walce o ustrój demokratyczny“. Niema w odezwie ani słowa o okupacji niemieckiej lub o wspólnej walce z Niemcami.

„My zwyciężyliśmy swego wewnętrznego wroga, życzymy wam powodzenia w walce z waszym wrogiem”. Taki jest sens odezwy, która już zdradza tendencje pokojowe proletarjatu,— niechęć do prowadzenia dalszej wojny.

Takiej odezwy oczywiście rząd tymczasowy nie mógł wydać. Nie odpowiadałaby ona nastrojowi inteligencji, która wierzyła, że rewolucja da siły do zakończenia wojny stanowczem zwycięstwem nad Niemcami. Niemożliwą byłaby taka odezwa i przez wzgląd na aljantów. Stosunek koalicji do sprawy niepodległości Polski była bardzo skomplikowany: z jednej strony koalicja rozumiała potrzebę pozyskania Polaków w wojnie z Niemcami, ale z drugiej strony jeszcze więcej obawiała się, że Rosja zrzekszy się Polski, straci główny motyw do wojny z Niemcami. Stosowało się to nie tylko do Rosji carskiej, ale i do Rosji wyzwolonej.

Czy armja rosyjska, zmęczona już wojną, zechce dalej bić się i wypędzać Niemców z kraju, który do Rosji nie należy? Obawy były słuszne. Już na początku rewolucji, kiedy defetystyczna propaganda bolszewicka nie zrobiła jeszcze wielkich postępów, nastrój w szeregach był taki: bronić granic, nie cofać się dalej, ale żadnej ofenzywy. Hasło pokoju „bez aneksji i kontrybucji” stawało się już popularnem w masach. Zresztą i odezwa robotnicza stwierdza, że wojny o Polskę proletarjat nie chciał.

Rząd tymczasowy zapatrywał się inaczej i w manifeście starał się jednocześnie i dla uspokojenia aljantów i dla uświadomienia własnej armji podkreślić *interes*, jaki Rosja miała w prowadzeniu dalszej wojny z Niemcami o Polskę niepodległą: to — wojna o sojusznika, który i w przyszłości będzie aljantem w walce z niebezpieczeństwem niemieckiem i gwarancją pokoju.

„Wierny umowom ze sprzymierzonymi,— czytamy w manifeście—wierny całemu i planowi walki przeciw zaczepnemu germanizmowi, rząd tymczasowy współdziała w tworzeniu niepodległego państwa polskiego, złożonego z tych wszystkich obszarów, których ludność jest w większości Polska, wzamian za rękojmię trwałego pokoju w przyszłej przebudowanej Europie. Pozostając z Rosją w wolnym związku militarnym, państwo polskie tworzyć będzie mocny wał przeciw naciskowi mocarstw centralnych na narody słowiańskie”.

Te to właśnie słowa manifestu o związku militarnym wywołały w Polsce jak najgorsze wrażenie, że Rosja rewolucyjna proklamując niepodległość Polski, jednakże ogranicza suwerenność państwa Polskiego, narzucając mu z góry sojusz.

Drugim niemiłym dla Polaka punktem był ustęp o konstytuancie rosyjskiej, która „udzieli zgody na zmiany terytorjalne państwa Rosyjskiego, niezbędne dla utworzenia Polski wolnej ze wszystkich rozdzielonych części“.

Oczywiście, że określenie zmian terytorjalnych, to jest ustalenie granicy polsko-rosyj-

---

[1]) Z „Dokumentów Chwili” Nr. 84, str. 16.

skiej, powinno było nastąpić w drodze zobopólnej zgody Polski i Rosji, a nie w drodze jednostronnego aktu konstytuanty rosyjskiej.

Tu polski punkt widzenia był nie do pogodzenia z rosyjskim: Rosja uważała, że powołuje do życia nowy twór państwowy, Polska wychodziła z zasady nieprzedawnionych praw państwa Polskiego.

(D. n.). **Leon Kozłowski.**

Propaganda antybolszewicka.

Rząd Sowietów ze szczególną pożądliwością zarzucił sieci na Włochy, uważając je widocznie za najbardziej podatny dla siebie grunt. Propaganda jego, wytężona w tym kierunku, wywołała z jednej strony antyrewolucyjną działalność faścistów, zaś z drugiej — pobudziła do twórczości — właśnie na terenie włoskim — przedstawicieli socjalizmu rosyjskiego o barwie mienszewickiej.

Specjalna rosyjska firma wydawnicza w Rzymie, „Słowo“ wydała ostatnio szereg, bądź oryginalnie po włosku napisanych, bądź przełożonych na język włoski dzieł, rzucających nowe światło na tragedję rewolucji rosyjskiej. Dzieła te stanowią nietylko pośrednio, jako ujawnienie faktycznego stanu rzeczy w państwie sowietów, propagandę antybolszewicką, ale są nią też i bezpośrednio, jako przeciwdziałanie akcji wydawniczej, wszczętej przez redakcję „Avanti“, w duchu bolszewickim, jak wiadomo bowiem „Avanti“ stało się pismem zdecydowanie komunistycznem. Z wydawnictw „Słowa“ najwybitniejszą bodaj jest praca *Borysa Sokołowa*, deputowanego do Konstytuanty rosyjskiej, który zebrał w książce swojej p. t. *„I bolschevichi giudicati de se stessi“* („Bolszewicy osądzeni przez samych siebie“) sporą wiązkę dokumentów, dotyczących rządów sowieckich, i na ich podstawie poddał istotę bolszewizmu krytycznemu rozbiorowi. Dokumenty rzeczone stwierdzają wymownie, że władza sowietów jest absolutyzmem, który z rąk teokraty przeszedł w ręce teokracji rewolucyjnej.

Autor poddaje rozpatrzeniu cały tragiczny obraz bolszewickiego systemu zaopatrywania, stanu środków transportu, rozpaczliwego upadku, do jakiego zostały doprowadzone: nauka, sztuka i wychowanie publiczne. Klasa inteligencji rosyjskiej zanikła. Rząd Sowietów zbiera teraz własny swój posiew. Już w mowie swojej z d. 28 marca 1919 r. zsyntetyzował sam Lenin całą bolesną tragedję dzisiejszą, stwierdzając, że „jedynie w ścisłym związku z klasą inteligencką zatryumfować będzie mogła demokracja nad rewolucją. Nie zdają sobie sprawy z istoty rzeczy ci, którzy sądzą, że tłum może stworzyć kraj i rządzić nim“.

Jeszcze bardziej tragiczny obraz nakreślił *Lokerman* — przedstawiciel rosyjskiej partji socjal-demokratycznej, w swoim opisie dwumiesięcznej dyktatury bolszewickiej w Rostowie nad Donem, w książce p. tyt. *„I bolscevichi all'opera“*. (Bolszewicy przy pracy).

Dziwnie bolesny los socjalistów w historji rewolucji rosyjskiej! Oni, którzy w rzeczy samej przygotowali grunt pod komunizm, zmuszeni zostali — po zrealizowaniu własnych ich dążeń do wyemigrowania po za granice kraju, im też przypadło narzucone ironją losu zadanie nielitościwie krytycznego oświetlenia wyników roboty komunistycznej. Włodzimierz Zenzinow, członek Centralnego Komitetu socjal - rewolucyjnej partji rosyjskiej, stawał niedawno przed trybunałem bolszewickim, oskarżony o „propagandę kontrrewolucyjną“. Człowiek, działalność całego życia którego była przygotowaniem gruntu pod zasiew bolszewizmu, zaznać musiał na samym sobie okrucieństwa tego systemu i na sobie samym stwierdzić, że nie jest on bynajmniej legendą, ale próbą niebezpieczną i bolesną.

We wstępie do książki Lokermana Zenzinow stawia socjalistom całego świata pytanie, czy bolszewizm jest ruchem socjalistycznym, wykazując im zarazem cały ogrom odpowiedzialności, jaką biorą na siebie wobec wszechświatowego ruchu socjalnego, kierując go na drogę obraną przez bolszewizm rosyjski. „Dla pjonjerów rewolucji rosyjskiej“ — powiada on — „socjalizm może stanąć jedynie na gruncie ustroju demokratycznego“. Bolszewizm zaś jest zaprzeczeniem tego systemu, i z tego właśnie powodu dawna partja rewolucyjna rosyjska stanowi obóz nieprzejednanych jego wrogów. Dla nich socjalizm, dążący do urzeczywistnienia swoich zamierzeń bez współpracy ludu, jest fałszem, jest takiem samem wynaturzeniem socjalizmu, jakiem była inkwizycja w stosunku do chrystjanizmu.

Cała książka Lokermana poświęcona jest zdarciu iluzji z rzekomej rewolucyjności bolszewizmu. Dwa miesiące srożenia się tego systemu w Rostowie na wiosnę 1918 roku, podczas których autor naocznie stwierdził, na czem polega jego istota, dały mu dostateczną miarę całej jego wartości. Opisuje on wejście wojsk bolszewickich, dni dzikiego teroru, które były bezpośrednim jego wynikiem i które doszły do tak potwornych rozmiarów, że wielu mieszkańców błagało, jak o łaskę, o wyrok śmierci przez rozstrzelanie; pogwałcenie wszelkiej wolności, niecne prześladowania oraz tysiące krwawych pomyłek, jakich dopuścić się jedynie może w tak tragicznych warunkach rozbestwiona, pijana tłuszcza sołdacka.

I wreszcie, przechodząc stopniowo do obrazów coraz czarniejszych, bierzemy do ręki publikację *Stanisława Wolskiego: „Nel regno della fame e dell'odio“* („W państwie głodu i nienawiści“). Podane przez autora opisy Rosji bolszewickiej, tego państwa głodu, nienawiści i teroru, przechodzą wszystko, co mogłaby wyobrazić sobie najbujniejsza imaginacja. Nie można posądzać autora o specjalną niechęć dla bolszewizmu, którego był on zrazu żarliwym wyznawcą aż do marca 1917 roku, więc do czasu, kiedy partja ta oderwała się zupełnie od socjal-demokracji. Wolski został wówczas redaktorem „Nowej Żyzni“, uprzednio redagowanej przez Gorkiego, i w następstwie zawieszonej przez rząd bolszewicki.

Przez wszystkie stronice nieskończenie bolesnej książki jego przewija się nić smutku beznadziejnego i grozy straszliwej, jaką wywołuje opis Moskwy i jej mieszkańców, „ludzi zgnębionych, pochylonych, o oczach ponurych, obłędnych“.

R. C.

LITERATURA I SZTUKA.

ARTYSTA I PUBLICZNOŚĆ.

Publicznością nie nazywam jakiejkolwiek grupy ludzi, lecz — towarzystwo, odpowiednio dobrane, zdolne do odczuwania wzruszeń sztuki; miano zaś *artystów* zachowuję dla tych, którzy zdołają dostarczyć wzruszeń takiej właśnie publiczności. Publiczność — to rzecz tak rzadka, że zaledwie zdajemy sobie sprawę, czem jest. Artysta, wbrew swej woli, musiał odzwyczaić się od niej. Zatraciwszy poczucie jej nieobecności, zaczęliśmy sami utrzymywać, iż artysta powinien obejść się bez niej zupełnie. Tkwi w tem niebezpieczeństwo.

Artysta nie może się obejść bez publiczności. A gdy jej niema, zmyśla ją, odwraca się od swej epoki, oczekuje od przyszłości tego, czego mu odmówiła teraźniejszość. Istnieją artyści (jeśli wolno ich tak nazywać), którzy kupują publiczność po zniżonej cenie w tłumie. O tych mówić nie będziemy.

Niebezpieczeństwem dla sztuki było odłączenie się od życia. Z chwilą, gdy artysta przestał czuć obok siebie publiczność, z chwilą gdy sztuka straciła swą zasadę istnienia, swoje znaczenie, swój użytek w społeczeństwie i w obyczajach, — nie skonała jeszcze, jak można było przypuszczać, bo laur Apollina jest zbyt żywotny, lecz zeszła ze swej drogi. Dzisiejszą sztukę tak tylko wytłomaczyć można: artysta, nie odczuwając swej publiczności, tworzy dalej, lecz tworzy bez wyraźnego przeznaczenia dla dzieła; malarz maluje, nie wiedząc, jakie ściany będą tłem dla jego obrazów; rzeźbiarz nie wie, skąd padnie światło, w którem się skąpią jego rzeźby; poeta śpiewa i sam siebie słucha. Nie utrzymuję, że wielcy artyści starożytni i Odrodzenia potępiliby doktrynę, którą nazwano: „sztuka dla sztuki“, lecz twierdzę, że nie zrozumieliby jej zgoła. Tego rodzaju doktryny rodzą się w czasach, gdy sztuka, nie mając dla siebie miejsca, nie mogąc brać czynnego udziału w życiu, nie znajdując w niem bodźca, osamotnia się dumnie, wpada w zarozumiałość i pogardza tem, co nie umiało jej ocenić. Jednocześnie, gdy artysta, nie znajdując sprawdzianu swego dzieła zewnątrz, zmuszony jest szukać zachęty tylko w sobie, rodzi się i rozwija pomyślnie nowa forma tak zwanej „krytyki subjektywnej“, która, nie posiadając żadnego poparcia w społeczeństwie, wyzutem ze smaku, ocenia jednakże dzieła (gdyż potrzeba oceniania nie zamiera) w imię swego osobistego smaku i większej lub mniejszej rozkoszy, jakiej przytem doświadczyła.

Rzecz to charakterystyczna dla naszych czasów — owa nienawiść dzisiejsza do wszelkiej krytyki dogmatycznej. (Wydaje nam się dogmatyczną, gdyż żaden dogmat już nas nie łączy). Wszystkie wielkie epoki wzniosłej twórczości artystycznej opierały się na krytyce bezwzględnie dogmatycznej, na krytyce, która czerpała swą siłę w świadomości, że miała poza sobą społeczeństwo wykształcone. W imieniu tego właśnie społeczeństwa mówiła krytyka. W niem czerpała zasady, według których chwaliła lub ganiła, a czyniła to odruchowo, zgodnie z wrodzonym dobrym smakiem. Ważnem było wówczas ustalić jakąś ideję piękna, powiedzmy — jakiś ideał, postawić reguły, zakreślić granice, po za któremi sztuka kłoni się do upadku lub ginie.

Przejawy sztuki są różnorodne, szkół jest legjon, lecz wątpię, aby jakaś cywilizacja w danej chwili historycznej' zdolna była stworzyć i utrzymać wiele szkół naraz. Gdy pokazano obrazy Teniers'a Ludwikowi XIV, król zawołał: „Zabierzcie te bohomazy“. W słowach tych tkwi wprawdzie ograniczoność smaku, ale nadzwyczajnie inteligentna. Gdyby Teniers był trzy razy większy, słowa te miałyby zawsze słuszność, nawet gdyby Teniers malował jak Rubens lub Velasquez. Zbędnem było zupełnie, aby Ludwik znał się dokładnie na malarstwie. Sztuka bowiem odpowiada nie — zrozumieniu, lecz potrzebie społeczeństwa. Francja w swoim czasie odrzuca Teniers'a lub Rubensa, musi zapoznawać Poussina.

Nasza epoka rości sobie prawa do większej inteligencji, a raczej do większego eklektyzmu, niż epoki poprzednie. W salach naszych muzeów, tych wielkich cmentarzów sztuki, umiemy pomieścić Poussina obok Velasqueza; odczuwamy Cranacha i Dürera, ale nie obcy nam są również Delacroix i Goya. I, oczywiście, mamy słuszność, że ich odczuwamy wszystkich. Nie rozumieć ich w naszych czasach byłoby głupotą. Mamy również słuszność, gdy oklaskujemy na koncertach kwartet Mozarta obok fragmentu Walkirji. Ale trzeba przyznać, że ten inteligentny eklektyzm, którym się szczycimy, dowodzi, niestety, że sztuka nie jest już wytworem naturalnym, że nie odpowiada jakiejś określonej potrzebie publiczności i że społeczeństwo rozczłonkowane bez wyraźnego ideału, który dałby się określić w jakimś stylu, przyjmuje nierozumnie, jak się zdarzy, zarówno ideały przeszłości, jak wszystkie nowe ideały. I tradycja artystyczna, którą tyle pokoleń budowało i utrzymało na szczytach, wydaje się dziś, niby drzewo, którego potężny pień usycha, gdyż społeczeństwo nie oczyszcza go z niepotrzebnych pędów, nie wycina ich. A one właśnie, chociaż same w sobie wydają się czasem pięknymi, niszczą jednak drzewo i kończą żywot na sobie.

Szczególne jakieś nieporozumienie sprawia, że ponad wszystko w sztuce ceni się szczerość. Żądają, aby artysta był przedewszystkiem szczery. Ale gdy zapytamy, co należy przez to rozumieć, każdy jest w kłopocie. Artyści Odrodzenia mało się o szczerość troszczyli. Czyż pozory wspólnej religji, której, według nakazów ówczesnego społeczeństwa, artysta ulegać musiał, szkodziły jego indywidualności? Przeciwnie. Płaszcz obłudy katolickiej, którym artyści zmuszeni byli osłaniać swą zmysłowość, tak szczerze pogańską, przyczynił się jeszcze więcej do rozwoju sztuki. I widzieliśmy olbrzymów, którzy przywdziewali najbardziej nieszczerą szatę. Obłuda jest jednym z warunków sztuki. W czasach najmniej szczerych sztuka rozkwitała najpiękniej. Obowiązkiem publiczności było zmuszać artystę do obłudy. Ważnem było, ażeby istniała publiczność i ażeby

stawiała jakiekolwiek żądania. Właśnie ta publiczność pragnęła chwały, uniesienia, upojenia, że zaś była wykształcona, więc żądała rzeczy artystycznych. Artysta-podczaszy uspakajał jej pragnienie. Lecz żeby umożliwić to pragnienie sztuki, trzeba było najpierw usunąć głód. Głód materjalny był dostatecznie zaspokojony, zaspokojenie zaś głodu umysłu i ducha należało do kościoła. Jedynie społeczeństwa syte, których umysł spokojny spoczywa na przyjętej religji lub dogmacie, posiadają sztukę. Sceptycyzm jest, być może, początkiem mądrości; lecz tam, gdzie się rozpoczyna mądrość, kończy się sztuka.

Dzieło sztuki—to pochlebstwo. Błąd artysty polega nie na tem, że pochlebia, lecz że pochlebia za wszelką cenę. Pochlebstwo warte jest tyle, ile jest wart ten, któremu się schlebia. Rzeczą publiczności jest żądać pochlebstwa najwytworniejszego, skierowanego zatem ku najlepszym w niej stronom. Publiczność nie stwarza artysty, ale jest w prawie stawiania mu żądań i to nie bylejakich. Ona wreszcie może nie uznawać miernot, a pobudzać tylko twórców najprzedniejszych. Jej wysoki poziom umysłowy uprawnia ją do surowości w ocenach.

Publiczność powinna być nieliczna. Mała jest liczba Greków Peryklesa; nieliczni są „honnêtes gens" Ludwika XIV, szlachta włoska z czasów Odrodzenia. Byli oni w tak małej ilości, że każdemu z nich niejako bezpośrednio pochlebiało dzieło sztuki.

Niebezpieczeństwo tłumu wypływa nie tylko stąd, że publiczność jest niewykształcona i że skutkiem tego łatwo jej pochlebiać, ale i stąd, że jest ona zbyt liczna. Jest to publiczność różnorodna, z wielu stron przybyła, nie posiadająca nic wspólnego ani w kulturze, ani w smaku, ani w ideałach, ani w obowiązkach. O cóż, w stosunkach do niej, ma się zaczepić pochlebstwo? Można jej chyba schlebiać w tem tylko, co ją łączy, a zatem w rzeczach gminnych. Odczuwamy to zwłaszcza w teatrze.

Dobrze, gdy artysta wie, do kogo się zwraca. Gdy artysta tego nie wie, zrywa ze swą epoką i zamyka się w sobie, jak to czynią dziś najlepsi twórcy. Liczy, że przyszłość go wynagrodzi za teraźniejszość i chce się przypodobać idealniej, nieznanej publiczności, niewyraźnie rozrzuconej w przyszłości.

Andrzej Gide.

SPOTKANIE.

Już świta, noc uniosła litosne zasłony
Z ponad powiek nędzarzy, śniących jasność bożą —
— Brudny ranek, targnąwszy odwieczną obrożą
W codziennej nędzy jarzmo zakuwa miljony.

Po nocy pełnej zwątpień, rozpaczy i winy,
Samotnym idę krokiem bez celu, ni drogi.
Gasnących latarń światła ścielą się pod nogi,
W rozjęku dzwonów nocne konają godziny.

Nagle w załomie muru, wpół mrokiem okryta
Jakaś postać — spóźniona widać zalotnica —
— Patrzę—krew stygnie w żyłach — znajome wszak lica
— Ten trupich szczęk półuśmiech i pusta orbita.

. . . .

A ona, nagi szkielet kryjąc szatą ciemną,
Wpół mnie bierze zalotnie i szepce: „Pójdź ze mną".

Michał Świrski.

Z WYSTAW W ZACHĘCIE.

WYSTAWA PAWŁA GAJEWSKIEGO.

Po raz pierwszy w Warszawie ukazał swe prace Paweł Gajewski. Debiut! Do tego słowa przywiązane są określniki, które brzmią, jak proroctwa, nadzieje, zapowiedzi czegoś, co się stać może, a jeszcze się nie stało.

Tymczasem p. P. Gajewski na udry symbolice słowa zjawił się jako artysta dojrzały, skrystalizowany, a co więcej, mający swą własną fizjognomię. To nic, że fizjognomia ta pochodzi z wymierającego rodu impresjonistów, że wśród nowych ludzi błąkać się będzie, jako ktoś niedopasowany z „ancien regime'u. — Nie wypada jednak mierzyć sztuki wedle żurnalu mody, ale podług jej wewnętrznych i nieprzemijających wartości.

Tą nieprzemijającą wartością sztuki p. Gajewskiego jest opanowanie rzemiosła malarskiego, opanowanie całkowite, niemal klasyczne.

Temperament dał się ujarzmić rozumowi i woli.

Więc ani ujrzeć młodego rozhukania, szaleństwa, dziwactwa, błądzenia czy poszukiwania. Dzieło każde nosi piętno przemyślenia i jeśli kryją się w niem jakie pożądania i tęsknoty, to wiodące do opanowania klasycznej formy i poprawności.

I w takiej chwili należy zapytać artystę, czy warto powracać do tego, co było kiedyś tak doskonale opanowane, czy nie na marne pójdzie ten trud powrotnej drogi do renesansowego czy fidjaszowskiego klasycyzmu, który czyni człowieka uboższym o całe niebo wyobraźni i krępuje go kanonami z dawien dawna istniejącemi? Czy nie lepiej być jednym z tych, którzy rozkrwawiają sobie głowy i dusze, by wybić mur na nowe horyzonty?

P. Paweł Gajewski nie wybrał trudów heraklesowych, więc wedle dawnej skali konstatować należy:

Obrazy „Gęsiarki", „Przy oknie", „Krakowianka", „Zielony garnek", rysunkowe „Główki" są dziełami wychodzącemi poza miarę poprawności impresjonistycznych—to raczej zwrot do klasycyzmu, do Davida i Ingres'a, niż kolorystyczna wrażeniowość. Poprzez akademicyzm W. Weissa — do klasycyzmu, oto droga, którą poszedł p. P. Gajewski.

W wyższym jeszcze stopniu, niż w obrazach figuralnych przebija zależność od W. Weissa w krajobrazach (np. „Wiosna").

Niema jednak na świecie sztuki bez rodowodu, więc genealogja sztuki P. Gajewskiego nie czyni talentowi jego uszczerbku, lecz jaśniej go tłumaczy.

Artysta nie rozporządza zbyt bogatą skalą kolorów, ale te, których używa, doskonale harmonizuje i uszlachetnia. O kolorystyce P. Gajewskiego można mówić jako o zjawisku impresjonistycznem, utemperowanem 59-letniem doświadczeniem, które wykazało, że nie tylko kolor i słońce są „pierwszemi postaciami" obrazu, ale harmonja ma swe odwieczne prawa.

Tych praw przestrzega młody artysta z korzyścią dla swej sztuki.

ZBIOROWA WYSTAWA MARJANA PUFFKEGO.

Warszawscy artyści mieli to nieszczęście, że mieszkali w Warszawie. Warszawa zaś miała to szczęście, że każdego artystę upodobniała do swego wyglądu. Kto nie chciał uledz, uciekał — kto został — stawał się „warszawskim" — to znaczy, pomijanym w Polsce.

Wśród wielu innych rehabilitacji należy więc przeprowadzić rehabilitację sztuki warszawskiej. Kilkoletni pobyt p. Marjana Puffkego w stolicy byłego Królestwa uczynił go nieznanym w Polsce, a nie zdołał jeszcze wyryć na nim piętna łatwości, pokupności, liczenia się z zapotrzebowaniem bulwarów i buduarów.

P. M. Puffke został poprostu malarzem i to wielostronnym, zarówno portrecistą, jak pejsażystą, próbującym równie chętnie rodzajowej kompozycji, jak stylizacji i martwej natury.

Taka też jest i jego wystawa, zamykająca poważny okres pracy.

Wielostronność artystyczna p. M. Puffkego nie przyczyniła się wcale do obniżenia wartości jego sztuki, owszem odsłoniła wiele możliwości, wśród których poruszać się może artysta obdarzony łatwością wnikania w różnorodne tematy. I, co ważniejsza, w tem wchłanianiu najbardziej sprzecznych z sobą tematów nie tylko pracowało oko kolorysty, ale i wykwint kompozytora.

Nie jest obojętną rzeczą dla p. M. Puffkego, co maluje—portret cioci—czy nać kartoflaną—jak to mawiał I. Stanisławski. Artysta wybiera sobie tematy odpowiadające jego skłonnościom. Skutkiem tego pogłębia ich wartości malarskie i stwarza rzeczy piękne.

Puffke jest przedewszystkiem portrecistą i za takiego winien uchodzić.

IV.

POWIEŚCI INDYJSKIE.

I. Założenie miasta Pataliputry. [1]

Błądząc w okolicy (gór Windhja), Putraka spostrzegł dwóch ludzi, którzy gwałtownie walczyli ze sobą.

Pyta więc ich: — Kto wy jesteście?

— Jesteśmy synowie Maja Sury. To zaś jest nasze mienie: ten dzbanek—ta laska—i te ciżmy. O nie nasza ostra walka. Kto mocniejszy, ten je posiędzie.

Usłyszawszy te słowa, z uśmiechem rzecze im Putraka:

— I na cóż człowiekowi takie mienie przydać się może?

Na co oni: — Kto te ciżmy włoży na nogi — ten potrafi latać po powietrzu. Tą laską cokolwiek narysujesz na ziemi — natychmiast się urzeczywistni. W dzbanku, jakiekolwiek jadło uroisz sobie, już ci w nim ono jest.

Na to rzecze Putraka.

— I pocóż o to walka? Lepiej uczyńcie igrzysko. Kto drugiego w wyścigu zwycięży, ten niech to wszystko otrzyma.

— Niechaj tak będzie.

I obaj głupcy zaczęli wyścig. Putraka zaś, nałożywszy ciżmy, porwał dzbanek i laskę — i uniósł się w obłoki.

W jednej chwili uleciał bardzo daleko — i ujrzał piękne miasto, imieniem Akarszika. Do tego więc miasta zestąpił z obłoków.

— Dziewki skore są do oszukaństwa, bramini—to jakby moi krewni, kupcy—chciwi dobytku. W czyimże domu mieszkać będę?

Tak rozmyślając, napotkał ów król opuszczoną ruderę — a w jej wnętrzu zobaczył starą kobietę. Podarkiem naprzód zaskarbiwszy sobie starą, został przez nią życzliwie przyjęty— i niepostrzeżony mieszkał w jej siedzibie.

Razu pewnego owa starucha, która polubiła Putrakę — rzecze mu:

— Zdaje mi się, synu, że żadna niewiasta nie jest ci tak na małżonkę odpowiednia, jak nasza królewna, dziewica Patali. Ale w swym babieńcu jest ona pilnie—niby perła—strzeżona.

Gdy młodzian na te słowa babuni czujnie dawał ucho, przeniknął w nie bóg miłości, znajdując tym sposobem, niby drogę do serca.

— Dziś jeszcze muszę zobaczyć tę, co mi się stała ukochaną.

Gdy nadeszła noc, ciżmy nałożył i, uniósłszy się w powietrze, przeniknął przez okno do jej świetlicy w babieńcu, który stał na szczycie wysokiego wzgórza. Potajemnie ujrzał tam Patalję uśpioną—samotną. A gdy światło księżycowe rozlewało się po jej członkach, zdawała się ona niby ucieleśniona potęga Kamy, który świat zwyciężywszy, odpoczywa.

Rozmyślał teraz, jakby ją obudzić, gdy

[1]) Opowiadania te zaczerpnięte są ze zbioru: *Katha — Sarit — Sâgara* (Ocean rzek powieści), ułożonego przez Somadewę. Ze zbioru tego podaliśmy już jeden fragment w Tygodniu, Nr. 1 r. 1921. Oryginał jest wierszowany, treść jednak raczej nadaje się do tłumaczenia prozą. *(Przyp. tłom.).*

nagle usłyszał z zewnątrz pieśń, którą śpiewał wartownik.

— Najwyższy stopień rozkoszy osiągnął, kto swą tajemnie ukochaną, bezwładnie uśpioną — budzi słodkiem pocałowaniem — taki młodzieniec znalazł owoc życia.

Usłyszawszy to wskazanie, Putraka drżącemi z żądzy członkami objął swą ukochaną. Ta zaś, skoro się przebudziła i ujrzała księcia, czuła, jak naraz w jej oku walczą nawzajem wstyd i pożądanie: już to mu się przygląda, już go unika.

Jęli rozmawiać ze sobą—i zawarli ze sobą ślub na sposób Gandharwów. [1]) Tak rosła miłość obojga małżonków, ale nie noc.

O świcie Putraka pożegnał się z ukochaną kobietą—i z duszą wciąż utkwioną w dzisiejszej fortunie—powrócił do domu staruchy.

Gdy tak co noc do jej izby się przedostawał, służebne odgadły tajemnicę ślubu Patali — i powiedziały o tem ojcu. Ten jednej z kobiet nakazał ukryć się w sypialni córki i uważać.

Gdy Putraka wszedł, kobieta, aby go później rozpoznać, naszyła mu na ubraniu czerwoną łatę. Król zawiadomiony, że go odkryto, posłał wywiadowcę. Ten ze znaku rozpoznał Putrakę, znalazłszy go w ruderze starej kobiety. Wprowadzony przed oblicze monarchy, widząc, że ten jest bardzo rozgniewany — w ciżmach uleciał w powietrze i przeniknął do izby Patali.

— Jesteśmy odkryci. Wstań. Ulećmy mocą ciżm zaczarowanych.

I pomieściwszy w objęciach swych Pataljç, uniósł się w powietrze.

I oto spłynął z powietrza na brzeg Gangi i ujrzał, że kochanka leży zemdlona. Wówczas potrawami, zrodzonemi przez czarodziejstwo dzbanka, przywołał ją do życia z powrotem.

Patali, widząc z podziwem siłę magiczną Putraki—uprosiła go, iż na tem miejscu wyrysował wspaniałe miasto — i stworzył sobie potężną armję poczwórną. Tu został monarchą, a gdy zdobył wielką potęgę — pogodził się ze swoim świekrem i opanował ziemię aż do Oceanu.

Tak owo świetne miasto wraz ze swemi mieszkańcami, które powstało dzięki Maji [2]) — nazwane zostało Pataliputra—stolica Rozkoszy i Oświaty. [3])

Z sanskrytu przełożył ***A. Lange.***

[1]) Gandharwy—są to muzykanci bogów. Ślub sposobem Gandharwów *(Gandharwa—udwaha)* jest to ślub bez świadków i ceremonjału, ale mający znaczenie prawne.

[2]) *Maja* — sztuka, czarodziejstwo, ułuda.

[3]) W oryg. *Lakszmi* (piękność i rozkosz) oraz *Saraswati* (wymowa, oświata).

LITERATURA I SZTUKA
U OBCYCH.

✻ **Nieznane obrazy Millet'a.** Niemałe zdziwienie wywołało ostatnio śród miłośników sztuki i artystów odkrycie na strychu ratusza w Cherbourg'u nieznanych obrazów Millet'a. Okazuje się dziś, że dyrekcja departamentu sztuk pięknych wiedziała o ich istnieniu i przyczyniła się do ich obecnego wydobycia na światło dzienne, dla wszystkich jednak prawie poza nią znalezienie tych płócien, które zbogacą Muzeum Cherbourg'a, było prawdziwą niespodzianką.

Sam jednak fakt, że znalazły się w tem mieście tłomaczy się dość, łatwo. Millet urodził się w najbliższych okolicach Cherbourg'a i od 18-go do 22-go roku życia (1833 — 37) studjował tam pierwsze zasady swej sztuki pod kierownictwem jednego z zamieszkałych tam malarzy, zgoła zresztą nieznanego, zdaje się, wyrobnika pędzla. Wysłany następnie przez radę miejską do Paryża, wchodzi do pracowni Delaroche'a i po dwakroć, ale bezskutecznie, ubiega się o „Prix de Rome". W r. 1840-ym, pozbawiony środków utrzymania, powraca do Normandji. Rada miejska Cherbourg'a, chcąc właśnie w owym momencie uczcić pamięć swego zmarłego burmistrza, zamawia u Millet'a za 300 franków jego portret. Ale Millet nie widział go nigdy, a nie mogąc na domiar znaleźć żadnego modelu, prosi jednego z woźnych, mającego jaknajgorszą reputację, o pozowanie mu do portretu. Wywołuje to wielkie zgorszenie, to też, chcąc nieco ugłaskać swych zagniewanych protektorów, Millet ofiarowuje radzie miejskiej płótno p. t. *Mojżesz.* Płótno zostaje przyjęte bez entuzjazmu, a nowe obstalunki nie przychodzą. Młody artysta jest w tak ciężkiem położeniu, że maluje między innemi szyld dla jakiegoś weterynarza i jakiegoś sklepu nowości.

Za 30, wyraźnie trzydzieści franków dostarcza w tymże czasie właścicielowi wędrownego cyrku czy teatru obrazu przedstawiającego *Bitwę pod Isly.* Mimo jednak tak krytyczną sytuację a mniej też szukając pociechy w smutku żeni się w r. 1841 z młodziutką Pauliną Wirginją Ono, córkę krawca z Cherbourg'a, i temu to małżeństwu właśnie zawdzięcza dziś muzeum tego miasta szereg płócien mistrza. Nieznane bowiem jego obrazy przechowały się były w rodzinie Ono-Byot i zostały zapisane przed kilku laty Muzeum przez jednego z jej członków. Paulina Wirginja umarła po trzech latach pożycia małżeńskiego. Ale już za czasów narzeczeństwa zrobił był Millet jej własny potret, następnie zaś potrety jej samej ponownie. Dwa ostatnie płótna rozpoczęły już serje jego arcydzieł. Po śmierci żony pociągnęło go dość szybko nowe uczucie. Wszystkie związane z nią pamiątki pozostawił jej rodzinie. Stąd to znalazł się w posiadaniu tej ostatniej cały szereg płócien i szkiców, a mianowicie, poza wymienionemi już potretami, kilka kopji z dawnych mistrzów, kilka obrazów rodzajowych i kilka aktów. Całość przypomina różne etapy tej twórczości przed jej zwróceniem się ostatecznem w wybranym przez artystę kierunku. Te to rzeczy przeszły na własność muzeum w Cherbourg'u. Ale niezbyt troszczono się w niem o tę cenną puściznę. Przypadek dopiero — czy też moie departamemt sztuk pięknych przypomniał radzie miejskiej i objawił ogółowi, że przeszło dwadzieścia prac Millet'a, a w ich liczbie parę autentycznych arcydzieł, czeka, by zechciano zająć się ich losem.

✻ **Nowy Botticelli.** W zbiorach Hamiltona, w Nowym Yorku, odnaleziono nieznane dotąd dzieło Botticelli'ego; jest to portret młodego chłopca, który może być zaliczony do najlepszych obrazów nieśmiertelnego Florentczyka. Każdy szczegół przemawia za tem, że twórcą portretu był Botticelli. Przechylenie głowy, nakrytej czerwoną czapeczką, pełne

nczucia spojrzenie, kształt nosa o rozdętych nozdrzach, rysunek pełnych ust, wreszcie kształt spoczywającej na piersi prawej dłoni. Chłopiec na portrecie przypomina jednego z aniołów na obrazie, wyobrażającym Madonnę.

* **Muzeum teatralne.** Pałac Centani w Wenecji, gdzie ujrzał światło dzienne mistrz komedji włoskiej, Goldoni, został zakupiony drogą składek i będzie zamieniony na muzeum teatralne. W muzeum tem znajdą między innemi, pomieszczenie słynne zbiory Luigi Rasiego, obejmujące najcenniejszy materjał do historji sceny włoskiej.

* **Teatr Art et Action**, dawniej *Art et Liberté* jest najmniejszą napewno z małych scen prywatnych paryskich — niemal teatrem u siebie. Parę małych widowni lokuje się w podziemiach. *Art et Action* wspina się na wyżyny Montmartre'u i osiedla w sali, mogącej zmieścić zaledwie stu widzów' zainstalowanej przez kierownika teatru p. Edwarda Autant na najwyższem piętrze — mówią nam nawet że na dachu zwyczajnego domu mieszkaniowego przy ulicy Lepic. Zawinął jednak dopiero do tej przystani po długich i przykrych doświadczeniach. Dotąd przenosił wciąż swe penaty z jednego przygodnego do przytułku do drugiego. W żadnym teatrze trupa *Art et Action* nie mogła nigdy dać dwóch przedstawień z rzędu, nigdy grać wieczorem, nigdy w niedzielę po południu. Podziwiać wprost trzeba wytrwałość założycieli tej sceny, którzy, mimo tyle trudności, nie ustali w wysiłku, jak świadczy o tem długa lista urządzanych przez nich widowisk — seansów muzyki i poezji i przedstawień dramatycznych, wśród których nie brak prób wysoce interesujących.

Art et Action wystawiało mianowicie między innemi *Noc w Luksemburgu* — Rémy de Gawmont'a, *Herodiadę* i poemat *Un coup de dès n'abolira jamais le hasard* Mallarmé'go, *Filokteta* A. Gide'a, *Couleur du temps* Apolinaire'a, *Eklogi* Petrarki w tłumaczeniu Jerzego Polti'ego i znany utwór tego ostatniego autora *Les Cuirs de boeuf*, ponadto rzeczy S. Voirol'a, F. Divoire'a, H. M. Barzun'a, walczących w awangardzie przedstawicieli dramatyzacji poetyckiej, i utwory kilku futurystów jak Marinetti, Folgore, Pratella i t.d. Ponadto współdziałało z „*Vieux Colombier*" w wystawieniu *Dit des jeux du monde* P. Méral'a i w organizowaniu seansów muzyki współczesnej *Art et Action* ugrupowało bowiem naokół siebie cały zastęp młodych muzyków i dekoratorów. Co się tyczy samej gry, występujący w nim artyści-amatorowie muszą naginać się do nakazów doświadczeń przeprowadzanych, w teatrze w kierunku polifonji symultaneizmu.

P. F. Divoire, który opowiada dzieje tej sceny w czasopiśmie *Choses de Théâtre*, nie wtajemnicza nas w jej przyszłe projekta. Wiemy tylko, że w *Arte et Action* miejsca będą bezpłatne i publiczność dopuszczalna tylko na zaproszenia. Założycielom chodzi nadewszystko o zachowanie niazależności moralnej, którą może zapewnić scena całkowicie prywatna. W takich tylko warunkach można pozwolić sobie na różne doświadczenia, próby odrębnej interpretacji i wyzwolenia z utartych formuł i konwencji. Niewątpliwie, podobne próby prowadzą wkońcu do nowych formuł i konwencji, niema jednak takich z których by nie wyłoniły się jakieś pożyteczne wskazania ogólne.

Książki nadesłane do redakcji.

„Przegląd Warszawski", zeszyt V, zawiera: *Władysław Konopczyński*: O polską biografję narodową. — *Tadeusz Kowalski*: Składniki kultury muzułmańskiej. — *Eugenjusz Kucharski*: Lwów Fredrowski. — *Karol Irzykowski*: Uroki naturalizmu. — *Jan Nepomucen Miller*: Dom nawiedzony. — *Tadeusz Rittner*: Drzwi zamknięte. Kronika.

Wydawnictwa Towarzystwa Wydawniczego w Warszawie.

Stambuch. Skarbnica romantyzmu. Zebrał i wydał *Stanisław Wasylewski*.

Złota legenda błogosławionego Jakóba de Voragine, przełożył i wstępem opatrzył *Leopold Staff*. Str. 263 + XIV.

Marja Dąbrowska: O Zjednoczonej Polsce. Wydanie 2-gie rozszerzone. Str. 198.

Różne.

Claude Farrère: Wyspa z wielką studnią. Przełożył Kazimierz Bukowski. Nakładem wydawnictwa „Nowa Era", Lwów 1922. Str. 160.

OD WYDAWNICTWA.

Uprzejmnie prosimy Sz. Prenumeratorów o wczesne nadsyłanie prenumeraty za kwartał II.

TYDZIEŃ POLSKI wychodzi w sobotę.
Prenumerata „Tygodnia Polskiego" wynosi **kwartalnie 900 mk., miesięcznie 300 mk. za granicą podwójnie.** Cena pojedyńczego numeru **80 mk.**
Conto czekowe P. K. O. Nr. 1750.

Cena ogłoszeń za wiersz jednoszpaltowy milimetrowy 60 mk. — Strona ogłoszeniowa dzieli się na cztery szpalty.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, ORDYNACKA 5 m. 4.
Redakcja otwarta od 5—7 wiecz.: administracja od 9—2 pp. codziennie — telefon 286-17.

Zastępstwo na Kraków i Małopolskę: „Ruch", Kraków, ul. Szczepańska 9.

Wydawca: TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „ZJEDNOCZENIE" Redaktor: Leon Kozłowski.

Odbito na maszynie rotacyjnej drukarni „Praca", Kredytowa 2|4. Telefon 60-70.